Leigh Brackett

Ostatnie wezwanie z sektora 9G

(Last Call From Sector 9G)

Planet Stories, Summer 1955
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Artie powtarzał monotonnie:

— Ktoś jest przy drzwiach, proszę pana, mam otworzyć? Ktoś jest przy drzwiach, proszę pana, mam…

Durham chrząknął. Miał ochotę powiedzieć mu, żeby sobie poszedł do diabła i zostawił go w spokoju. Ale mógł tylko chrząkać, a Artie wciąż powtarzał swoje głupie pytanie. Artie był tani, nie-markowy, kupiony z drugiej ręki i brakowało mu paru trybów. Każdy służbot pierwszej klasy zauważyłby, że jego pan odpłynął na swoim krześle i nie był w stanie przyjmować gości. Ale Artie tego nie potrafił i po chwili Durham otworzył jedno oko, a potem zaczęło do niego dochodzić natarczywe pukanie, ponieważ dzwonek był, naturalnie, nieczynny. Powiedział zupełnie wyraźnie.

— Jeśli to wierzyciel, to mnie nie ma.

— …czy mam otworzyć?

Durham wydał z siebie serię odgłosów rozpaczy. Artie uznał je za potwierdzenie i niezdarnie poczłapał. Durham ukrył twarz w dłoniach i zmagał się z bólem powracającej świadomości. Usłyszał pomruki głosów w korytarzu. Wydało mu się nagle, że je rozpoznaje, i zerwał się, a raczej potknął się przerażony, pospiesznie przeczesując palcami włosy i próbując rozprostować zagniecenia na tunice. Jak przez gęstą mgłę zobaczył na stole butelkę, złapał ją i schował pod krzesłem, wstydząc się nie tego że jest pusta, ale jej etykiety. Dżentelmen nie powinien upijać się czymś takim.

Weszli Paulsen i Burke.

Durham stał sztywno wyprostowany przy stole, wisząc na nim. Popatrzył na obu mężczyzn.

— No cóż — powiedział. — Minęło sporo czasu. — Zwrócił się do Artiego. — Panowie wychodzą.

Burke szybko stanął za służbotem i przestawił główny przełącznik na WYŁ. Artie zatrzymał się, wydając z siebie odgłos przypominający westchnienie zmęczenia. Paulsen ominął go i zamknął drzwi. Potem obaj ponownie odwrócili się twarzą do Durhama.

Durham skrzywił się.

— Co wy, u diabła, sobie myślicie?

Burke i Paulsen popatrzyli na siebie, jakby jakieś postanowienie doprowadziło ich tak daleko, ale teraz jego siła się wyczerpała, pozostawiając ich niezdecydowanych w obliczu pewnego niesmacznego zadania. Obaj mężczyźni mieli na sobie czarne maski na oczy i odrzucone kaptury.

— Czyżbyście się bali, że kiedy tu przyjdziecie, to was rozpoznam? — rzucił Durham. Serce zaczęło mu lekko bić ze strachu, a to przecież był idiotyzm. Rozzłościło go to. — Czego chcecie?

Paulsen odparł niechętnym tonem, nie patrząc na niego:
— *Ja*, nie chcę niczego, Durham, wierz mi. — Durham był kiedyś zaręczony z jego siostrą, o czym obaj woleliby nie pamiętać, ale nie mogli tak do końca zapomnieć. Kontynuował: — Zostaliśmy tu przysłani.
Durham próbował pomyśleć, kto mógł ich przysłać. Z pewnością żadna z dziewcząt; tak samo na pewno nie żadna z osób, którym był winien pieniądze. Dwaj członkowie korpusu dyplomatycznego Świata Terran, nawet młodzi i wciąż niezbyt znaczni członkowie, niższego szczebla, byliby ponad każdą z tego rodzaju misji.
— Kto was przysłał?
Burke odparł:
— Hawtree.
— Nie — stwierdził Durham. — O nie, podałeś złe nazwisko. Hawtree nie przysłałby po mnie, nawet gdybym był ostatnim człowiekiem w galaktyce. Hawtree, dobre sobie.
— Hawtree — powtórzył Paulsen. Wziął głęboki oddech i zdjął maskę. — No, dalej, Burke.
Burke zdjął maskę. Podeszli razem.
Durham cofnął się. Opuścił ramiona i uniósł pięści.
— Uważajcie — powiedział. — Co macie zamiar zrobić? Uważajcie!
— No dobrze — rzucił Burke i obaj skoczyli razem, łapiąc go za ramiona, nie dlatego, że Durham był tak wielki lub tak silny, że ich przestraszył, ale dlatego, że nie podobał im się pomysł bójki z pijanym człowiekiem.
Paulsen powiedział:
— Hawtree chce cię widzieć dziś wieczorem i chce żebyś był trzeźwy. I, do cholery, dokładnie takiego cię dostanie.

Godzinę i siedem minut później, Durham siedział obok Paulsena w nieoznakowanym helikopterze i patrzył, jak dach jego wieży mieszkalnej opada pod nim coraz niżej.
Burke z nimi nie leciał, i Durham nosił maskę Irlandczyka, z kapturem na głowie. Pod przebraniem miał swój najlepszy strój, ten, którego nie oddał do lombardu, ponieważ jeszcze nie był w stanie znieść życia bez choćby jednego dobrego ubrania. Był umyty, ogolony i idealnie trzeźwy. Od zewnątrz nie wyglądał tak źle. W środku był zupełną masakrą.
Helikopter włączył się do pasa północ-południe. Paulsen, opatulony kapturem, siedział cicho. Durham czuł podobną niechęć do rozmowy. Spojrzał na Ośrodek i starał się odepchnąć od siebie myśli. Nie rusz mu na spotkanie biegiem, nie rób sobie nadziei. Cokolwiek miałoby to być, niech się stanie spokojnie.
Miasto było piękne. Jego oficjalna nazwa brzmiała Galactic Center, ale nazywano je Ośrodkiem, ponieważ tym właśnie ono było: centrum i punktem skupienia galaktyki. Było to największe miasto Drogi Mlecznej. Obejmowało prawie cały obszar lądowy trzeciej planety gwiazdy typu G, którą ktoś z poczuciem humoru ochrzcił Pax. Planeta została wybrana już

na początku, ponieważ była centralnie położona, nie miała mieszkańców oraz dlatego że panowały na niej warunki w granicach tolerancji dla ras humanoidalnych. Inne rasy i tak w większości potrzebowały specjalnych warunków życiowych.

I tak, z idyllicznego, zielonego, pełnego świeżego powietrza świata, na którym nie było nic poza drzewami, trawą i paroma gatunkami łagodnych zwierząt, Ośrodek rozrósł się do populacji około dziesięciu miliardów ludzi, porozrzucanych w poziomie, pionie, oraz wkopanych pod powierzchnię, a każdy z nich zajmował się jakąś funkcją rządową, działalnością szpiegowską lub jednym i drugim. Intryga była tak samo częścią życia w Ośrodku, jak ciałka są częścią krwi. Ośrodek chwalił się, że jest jedyną zamieszkałą planetą w kosmosie, na której nie zebrano ani jednego ziarna pszenicy, nie wyhodowano żadnego baraniego combra, na której nic się nie produkowało i nikt nie pracował fizycznie.

Durham kochał go namiętnie.

Oba księżyce były w tej chwili na niebie. Jeden był mały i nisko położony, jak biała perła zawieszona tuż poza zasięgiem ręki. Drugi był ogromny. Posiadał atmosferę i służył jako magazyn oraz baza zaopatrzeniowa miasta-planety, obsługując miliardy ton dostaw, które utrzymywały je przy życiu. Oba tworzyły w górze wspaniały spektakl, ale Durham nie zawracał sobie głowy ich widokiem. Potężny blask miasta przyćmiewał je, sprawiał, że stawały się słabo widoczne. Przypominał sobie, jak patrzył na Ośrodek, kiedy świeżo przybył z Ziemi – najwyższą stolicę, obok której stolice planetarne były tylko miastami zabawkami, serce i centrum galaktyki, gdzie zapadały decyzje i gdzie przylatywali oraz odlatywali wielcy ludzie. Przypominał sobie, jak się czuł, kiedy był tak bardzo pewien przyszłości, że nigdy się nad nią nie zastanawiał.

Ale coś się wydarzyło.

Co?

Alkohol, powiedzieli.

Nie, nie alkohol, do diabła z nimi. Zawsze byłem w stanie panować nad swoimi drinkami.

Alkohol, powiedzieli, i wypadek.

Wypadek. I co z tego? Czy inni ludzie nie mają wypadków? Zresztą nikt tak naprawdę nie ucierpiał. On nie, i dziewczyna również – co z tego że nie była to jego narzeczona? – a poufne akta, które miał w helikopterze, nie dostały się w żadne obce ręce. A więc, nie było w tej sprawie nic.

Nie. To nie alkohol i nie wypadek, bez względu na to, co powiedzieli. To Hawtree i jego osobista uraza, ponieważ on, Durham, zabrał tamtej nocy do helikoptera córkę Hawtree. No i co z tego? Z Willą Paulsen był tylko zaręczony, nie brał z nią ślubu, a poza tym Susan Hawtree wiedziała, co robi. Dobrze wiedziała.

Hawtree, uraza i odrobina pecha. Tak właśnie było. I to wszystko.

Śmigłowiec skręcił i opadł na prywatny pomost przy penthousie. Durham znał to miejsce dobrze, chociaż nie widział go od ponad roku. Wysiadł, świadom kołatania serca i słabości w kolanach. Potrzebował drinka, ale wiedział, że będzie musiał najpierw wejść do środka. Zmusił

się, by wstać i iść obok Paulsena, jakby nic nigdy się nie wydarzyło. Głowa uniesiona, twarz dumna i spokojna, tylko odrobina goryczy, ale nie za wiele.

Hawtree był sam w salonie. Spojrzał na Durhama, gdy ten wszedł przez wysokie szklane drzwi. W kącie stał służbot i Hawtree powiedział do niego:

— Drink dla tego dżentelmena, coś mocnego i bez dodatków.

W Durhamie poruszył się lekki gniew. Hawtree mógł przynajmniej dać mu wybór. Powiedział ostro:

— Nie, dziękuję.

Hawtree odparł:

— Nie bądź głupcem.

Wyglądał na zmęczonego, ale tak było zawsze. Zmęczony i podekscytowany, pełen zapału i ostrego podniecenia; człowiek, który tak długo już żongluje ludźmi i narodami, w postaci czarnych znaczków na arkuszach różnokolorowego papieru, że stało się to dla niego nawykiem równie niezbędnym i niszczącym jak palenie haszyszu. Powiedział do Paulsena:

— Zadzwonię, kiedy będę cię potrzebować.

Paulsen wyszedł. Służbot wsunął Durhamowi drinka do ręki. Nie odmówił.

— Usiądź — powiedział Hawtree, i Durham usiadł. Hawtree odprawił służbota. Durham wypił część swojego drinka i poczuł się lepiej.

— No cóż — powiedział. — Zamieniam się w słuch.

— Bardzo mnie rozczarowałeś, Durham.

— Cóż mogę na to powiedzieć?

— Nic. No dalej, dokończ drinka, chcę porozmawiać z człowiekiem, a nie z zombie.

Durham dokończył go ze złością.

— Jeśli sprowadził mnie pan aż tutaj, żeby pogrozić mi palcem, to wracam do domu. — To właśnie powiedział na głos. W duchu zaś chciał paść na podłogę, objąć kolana Hawtree i błagać go o kolejną szansę.

— Sprowadziłem cię tutaj — oznajmił Hawtree, — aby zaoferować ci pracę. Jeśli dobrze się spiszesz, może to oznaczać, że pewne drzwi ponownie staną przed tobą otworem.

Durham siedział zupełnie nieruchomo. Przez chwilę nie ufał sobie, że będzie w stanie się odezwać. Potem odparł:

— Biorę ją.

Pewne drzwi. Na to właśnie czekałem, żyjąc jak włóczęga, unikając wierzycieli, zastawiając ostatnie buty, czekając, aż te drzwi ponownie się otworzą.

Usiłował nie okazywać, co czuje, siedząc prosto i swobodnie na krześle, ale policzki zaczęły mu się coraz mocniej rumienić, a ręce drżały. Najwyższy czas. Najwyższy czas, do cholery, Hawtree, żebyś sobie o mnie przypomniał.

Nich cię diabli, och, niech cię diabli, za to, że tak długo kazałeś mi czekać!

Hawtree mówił dalej:

— Czy słyszałeś kiedyś o Nanta Dik?

— Nie. Co to jest?

— Planeta. Leży w układzie zielonej gwiazdy, oznaczonej na mapach jako KL421, w podsektorze 9G, sektorze 80, kwadrancie 7. Jest to bardzo odizolowany układ, jedyny zamieszkały w 9G, prawdę mówiąc. 9G to sektor przydzielony Terranom, a ponieważ Nanta Dik jest humanoidalna, stała się główną siedzibą naszych obywateli, prowadzących interesy w tym podsektorze.

Durham skinął głową. Niezasymilowane terytorium leżące poza Federacją, zostało podzielone między członków Federacji, co pozwoliło im handlować tylko w wyznaczonych im sektorach i podlegać lokalnemu prawu i licencjom. Eliminowało to konflikty konkurencyjne między planetami Federacji, umożliwiało nowym obszarom rozwój i ostatecznie – zwykle pod patronatem planety sfederowanego – miało wprowadzać przydzielone sektory do ogromnej rodziny gwiazd, która rozprzestrzeniła się już na ponad połowę galaktyki. Od czasu do czasu dochodziło do nadużyć, ale ogólnie system działał całkiem nieźle.

— Rozumiem, że Nanta Dik to cel mojej podróży.

— Tak. A teraz posłuchaj. Pierwsza rzecz, jaką zrobisz rano, to pójdziesz i zarezerwujesz przejazd trzecią klasą na Ziemię, na *Sylvania Merchant*, odlatującym następnego dnia. Poinformuj znajomych, że wracasz do domu. Nie będą zaskoczeni.

— Proszę nie rozdrapywać ran.

— Przepraszam. Kiedy znajdziesz się w porcie kosmicznym, przejdź przez główną rotundę, w pobliże stoiska z gazetami. Upuść złożone razem bilet i paszport, idź do stoiska i czekaj. Zostaną ci zwrócone przez umundurowanego pracownika, tyle że paszport będzie na inne nazwisko, a bilet będzie na frachtowiec odlatujący do Nanta Dik. Potem od razu wejdziesz na pokład. Czy wszystko jasne?

— Wszystko, oprócz powodu.

— Dojdę i do tego. Jak dobra jest teraz twoja pamięć?

— Tak dobra, jak zawsze.

— W porządku. Kiedy dotrzesz do Nanta Dik, przy wyjściu ze statku spotka cię mężczyzna. Zapyta, czy jesteś ornitologiem. Powiesz, że tak. Następnie – zwróć na to szczególną uwagę – powiesz, „*Ciemne ptaki wkrótce wylecą*". Rozumiesz?

— Ciemne ptaki wkrótce wylecą. Dosyć proste. Co to znaczy?

— 9G to bogaty sektor, odizolowany, niedostatecznie wyposażony w siły policyjne, słabo zaludniony. Były tam pewne kłopoty, kradzież cudzych pomysłów, wymuszenia własności, jawne piractwo. „Ciemne ptaki" to parę podejrzanych statków. Chcemy zastawić na nie pułapkę, a wiesz, jak sprawy mają się w Ośrodku. Wystarczy, że człowiek kupi parę skarpet, a w ciągu tygodnia wieści rozchodzą się po całej galaktyce. To jest powód całej tej tajemnicy.

— Czy to wszystko?

— Nie. — Hawtree wstał, odwracając się plecami do Durhama. Powiedział szorstko: — Posłuchaj, Lloyd. To był pierwszy raz, kiedy użył chrzestnego imienia Durhama. — To ważna robota. Może taka się nie wydawać, ale taka jest. Zrób to. Jest pewna osoba, która chciała, żebyś dostał jeszcze jedną szansę.

Durham nic nie powiedział. Czekał, aż Hawtree odwróci się, spojrzy na niego i wypowie jej imię. Ale nie zrobił tego i w końcu Durham zapytał:

— Susan?

— Nie wiem, co ona w tobie widzi — burknął Hawtree i nacisnął przycisk. Do środka wszedł Paulsen. Hawtree wskazał kciukiem na Durhama. — Zabierz go z powrotem. I powiedz Burke'owi, żeby dał mu pieniądze.

Durham wyszedł na dwór i wszedł do helikoptera. Zakręciło mu się w głowie i tym razem nie było to spowodowane drinkami, ani ich brakiem. Usiadł, a Paulsen wystartował helikopterem.

Hawtree obserwował maszynę przez szklane drzwi, aż zniknęła z pola widzenia nad dachem. Inny człowiek wyszedł zza drzwi prowadzących do prywatnego gabinetu Hawtree i obserwował helikopter razem z nim.

— Jesteś pewien, co do niego? — spytał mężczyzna.

— Znam go — odparł Hawtree. — To śmieć.

— Ale czy jesteś pewien?

— Nie martw się, Morrison — oznajmił Hawtree. — Znam go. Wygada się. Założę się o setkę, że nie dotrze nawet do portu kosmicznego.

— Błogosławieni niech będą głupcy — sentencjonalnie stwierdził Morrison, — bo niczego nie odziedziczą.

II

Baya siedziała na łóżku i patrzyła, jak się pakuje. Pochodziła z jednej z planet Mintaki i była równie humanoidalna, jak oni wszyscy, niezbyt wysoka, ale o naprawdę świetnych kształtach, i pięknym odcieniu starego brązu od czubka głowy aż po podeszwy stóp, z wyjątkiem ust, które były intensywnie czerwone.

— Wydaje się zabawne — powiedziała — pomyśleć, że jutro już cię tu nie będzie.

— Będziesz umierać z tęsknoty, za mną?

— Prawdopodobnie przez dzień lub dwa. Czułam się komfortowo. Nie znoszę wstrząsów.

Durham sięgnął ponad nią po swój mały stosik bielizny. Miała na sobie coś z żółtego jedwabiu, dzięki czemu jej skóra błyszczała w kontraście. Zauważył, że szyję ma podejrzanie gładką, a kiedy zatrzymał się, by ją pocałować, dostrzegł drobne zmarszczki wokół jej ust i oczu, nieokreśloną oznakę zmęczenia i problemów, które były bardziej niszczące dla urody niż zwykły upływ lat. Wczoraj byli dwojgiem ludzi tego samego rodzaju,

częścią wielkiego rodu przegranych, odrzutów po sukcesach innych ludzi. Dziś był już daleko ponad nią. I był z tego zadowolony.

— To, co przynajmniej mógłbyś zrobić — powiedziała, — to zmienić ten wieczór w coś naprawdę pięknego. Ale przypuszczam, że nie możesz sobie na to pozwolić.

— Mam pieniądze. — Burke dał mu trochę, ale to było na wydatki i nie chciał o tym wspominać ani ich ruszać. — Artie przyniósł całkiem niezłą sumkę, meble też. — W mieszkaniu nie zostało nic poza łóżkiem, a nawet ono było już sprzedane. Odkupił parę swoich lepszych rzeczy i ciągle jeszcze miał spory plik kredytów. Czuł się dobrze. Czuł się radośnie i energicznie. Znowu czuł się jak człowiek.

Nalał dwa drinki i podał jeden Bayi.

— No dobrze — powiedział, — niech to będzie wspaniały ostatni wieczór. Najlepszy.

Wypili koktajle w barze zwanym The Moonraker, ponieważ był to najwyższy punkt tej półkuli miasta. Była to godzina między zachodem słońca a wschodem księżyca, kiedy wieżowce rysowały się ostro na tle nieba o barwie niesamowitego ciemnego błękitu, z przebijającymi się przez niego tu i ówdzie jaśniejszymi gwiazdami, a ciemne kaniony ulic u stóp wieżowców niknęły w młodej nocy, widmowej, delikatnej i uroczej. Stopniowo noc się pogłębiała i zapaliły się światła.

Wędrowali przez chwilę pośród wysoko położonych chodników, które łączyły górne poziomy wieżowców, tak by ludzie nie musieli spędzać połowy życia w windach. Minęli rozległą, zieloną halę, z której wyrastały budynki rządowe, białe, pozbawione ozdób i dostojne. Zawadzili tylko o jeden jej narożnik, ponieważ galaktyczny Kapitol ciągnął się kilometrami, dominując nad całym kompleksem oficjalnym, a jeden z jego ogromnych budynków wyposażono w taki sposób, aby niehumanoidalni członkowie Parlamentu Wszechświatowego mogli „uczestniczyć" w sesjach w komfortowych dla siebie warunkach, nie opuszczając swoich pomieszczeń, z atmosferą o szczególnie wysokim ciśnieniu i generalnie trującą. Między humanoidami a niehumanoidami stworzono wiele naukowych gradacji, form życia. Ale dla celów rządowych sprowadzało się to po prostu do tego, czy oddychają one tlenem, czy bez tlenu.

— Humanoidzi, czy nie — powiedział Durham, stojąc na górnym chodniku, z dobrym trunkiem płonącym jasno w jego wnętrzu — humanoidzi czy nie, to tylko ludzie tacy sami jak ja. To, co zrobili oni, mogę zrobić również i ja.

— To nudne — powiedziała Baya.

— Nudne — powiedział Durham. Pokręcił głową ze zdumieniem, patrząc na nią. Była piękna. Tego wieczoru ubrała się na biało, włosy kręciły jej się delikatnie na szyi, usta miała zmysłowe, a oczy – oczy twarde. Zawsze były twarde, zawsze robiły kłamcę z tych ochoczych, hojnych ust. — Nudne — powtórzył. — Nic dziwnego, że nic nie osiągnęłaś.

Uniosła się na te słowa i powiedziała o nim kilka rzeczy. Wiedział, że nie są już prawdziwe, więc mógł pozwolić sobie na to, aby poczuć się rozbawiony. Uśmiechnął się i powiedział:

— Nie kłóćmy się, Baya. To pożegnanie, pamiętaj. Chodź, wypijemy drinka w Miran.

Zeszli w dół po jasnych pajęczych taśmach chodników, zmierzając na wschód, zatrzymując się w Miran, a następnie przechodząc w inne miejsce gdzie mogli się napić, a potem jeszcze w kolejne. Chodniki były pełne ludzi, ludzi z setek gwiazd, tysięcy planet. Ludzie o nieskończonej różnorodności rozmiarów, kształtów i kolorów, ubranych w każdy możliwy do wyobrażenia i niewyobrażalny sposób. Ambasadorzy, parlamentarzyści, ich żony i kochanki, kurierzy, specе od obliczeń, topolodzy i ludzie od wykresów, dziewczyny z biur, fryzjerzy, woźni, alfonsi, i setki różnych innych zawodów. Durham widział ich jakby przez złocistą mgiełkę i kochał ich wszystkich, ponieważ oni byli miastem, a on znowu był ich częścią.

Wyszedł z lamusa nieistnienia. Hawtree musiał się poddać, a to głupie poselstwo do jakiejś drobinki pyłu, o której nikt nigdy nie słyszał, było po prostu środkiem niezbędnym do ratowania własnej twarzy. W porządku, Hawtree, świetnie. Ruszam i będę milczał jak grób. I możesz poinformować wyniosłą pannę Hawtree, która, wierz mi, może być także niegrzeczną panną Hawtree, że nie wiem, czy chcę ją z powrotem, czy nie. Zobaczymy.

— ...zabierz mnie ze sobą — mówiła Baya.

Durham pokręcił głową.

— Muszę jechać sam, kochanie. To niemożliwe.

— Wstydzisz się mnie, Lloyd? To o to chodzi, wstydzisz się zabrać mnie na Ziemię.

— Nie. Nie. Posłuchaj Baya...

Popatrzył na nią. Jego wzrok był już trochę rozmazany, widział na tyle dużo tła, by zastanawiać się, jak do diabła znaleźli się w tym, wyglądającym na już zamknięty, barze. Ale twarz Bayi była wystarczająco wyraźna. Dziewczyna płakała.

— Posłuchaj, Baya, kochanie, to nie to – to wcale nie o to chodzi.

— Więc dlaczego nie mogę lecieć z tobą na Ziemię?

— Ponieważ... posłuchaj, Baya, czy potrafisz dochować tajemnicy? — Zaśmiał się, a jego własny śmiech też był niewyraźny. — Obiecujesz?

— Obiecuję.

— Ja...

Urwał. Miał już na języku odpowiednie słowa, ale pozostały nie wypowiedziane. Czemu? Czy to z powodu oczu Bayi, które płakały, ale nie było w nich widać smutku? Widział je całkiem wyraźnie i wcale nie były smutne, tylko chciwe.

— Obiecałam ci, Lloyd. Możesz mi powiedzieć.

Pod jego rękoma znajdował stół z egzotycznym wzorzystym obrusem. Nie pamiętał, żeby przy czymś takim siadał. Była tam ściana z plastikoidowego cementu, pokryta surowym muralem w jasnych barwach. Niski, sklepiony sufit, również był pomalowany. Nie było żadnych okien.

— Jak tu się znaleźliśmy? — zapytał Durham głupio. — Jesteśmy w podziemiach.

— To po prostu jakieś miejsce — odparła niecierpliwie Baya. A potem dodała ostro: — Co się z tobą dzieje?

Krew i nerwy pulsowały mu w skroniach, a plecy wydały mu się zimne.

— Gdzie jest toaleta, Baya?

Jej usta zacisnęły się w złości i obrzydzeniu. Zawołała:

— Varnik!

Do stołu podszedł wysoki, potężny mężczyzna o bardzo długiej szyi i skórze koloru dojrzałej śliwki. Miał na sobie fartuch.

Baya powiedziała:

— Lepiej go tam zaprowadź, Varnik.

Człowiek koloru śliwki zabrał go, doprowadził do jakichś drzwi i przepuścił przez nie. Dalej władzę przejął służbot. Był było bardzo efektywny.

— Skończył pan, sir?

— Boże, nie. Ledwie zacząłem.

Jeszcze jedno słowo i byłby skończony. Na zawsze. Pijany papla Durham, samochwała Durham, niedoszła gruba ryba Durham, gotów wypaplać każdy sekret i zniszczyć ostatnią szansę na powrót do gry. Ale dlaczego Baya była taka natarczywa i ciekawska?

Rzeczywiście, dlaczego?

Zaczął czuć mdłości i strach. Po pewnym czasie z trudem doszedł do rzędu umywalek, gdzie spryskał twarz i głowę zimną wodą. Nad umywalką wisiało lustro. Popatrzył w nie.

— Cześć, śmieciu — powiedział.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, panie Durham. Jesteś pijakiem. Jesteś dokładnie tym, czym nazwała cię Willa Paulsen, Susan Hawtree, czym wszyscy mówili, że jesteś. Dostajesz drugą szansę, a potem idziesz sobie na miasto, upijasz się i wszystko rozwalasz. Albo, prawie. Jeszcze chwila i powiedziałbyś Bayi wszyściutko, co wiesz.

Baya, która popłakała się, ponieważ nie chciał jej powiedzieć; która zaciągnęła go do tej szczurzej nory.

Kiedy niepewnym krokiem wyszedł z toalety, obrzucił lokal już jaśniejszym spojrzeniem. Był prawie pusty i sprawiał wrażenie ciasnego, dusznego. Durham nigdy nie lubił tych podziemnych ulic, tego nieco niesmacznego półświata, który owijał się wokół fundamentów miasta. Uważano za modne włóczyć się po tych slumsach, ale to miejsce było w jakiś sposób złe.

Przy stole po drugiej stronie pomieszczenia siedzieli mężczyzna i kobieta, młoda, bladozielona para, która zbyt uważnie udawała, że go nie dostrzega. Za wysokim barem obok głównych drzwi stał Varnik, śliwkowy właściciel. A przy ich stole siedziała Baya.

Kiedy podszedł, podała mu szklankę.

— Czujesz się lepiej? Zamówiłam ci uspokajacz.

Nie siadając, przystawił szklankę do ust. Zawartość nie smakowała jak jakikolwiek uspokajacz, który pamiętał, a myślał, że wypróbował je wszystkie.

— Nie chcę tego.

— Nie bądź głupcem, Lloyd. Wypij to. — Jej oczy zrobiły się teraz zimne i nagle miał już całkowitą pewność, dlaczego go tu sprowadzono.

Durham oznajmił łagodnie:

— Dobranoc, dziwko. Dobranoc i do widzenia. — Obiegł dokoła stół i rzucił się do wyjścia.

Varnik wyszedł zza wysokiego baru, żeby zagrodzić mu drogę, wyciągając kawałek papieru.

— Proszę pana — powiedział. — Pański rachunek.

Durham usłyszał z tyłu szuranie trzech krzeseł. Nie zatrzymał się. Pochylił się i wbił czubek ramienia tak mocno, jak tylko mógł, w miejsce tuż nad szerokim pasem Varnika. Varnik westchnął ciężko i skręcony poleciał do tyłu. Durham wybiegł przez drzwi.

Podziemna ulica była jasno oświetlona. Pobiegł natychmiast w prawo i w lewo, pod niskim sklepieniem, znikając z każdej strony za zakrętem pod kątem prostym. Durham uciekł w lewo bez konkretnego powodu. Na ulicy byli ludzie. Lawirował między nimi, biegnąc. Zatrzymywali się i patrzeli na niego, a z tyłu rozległo się echo innych stóp, również biegnących. Pomknął za kolejny róg i dotarło do niego, że całkowicie się zagubił, że nawet nie wie, jaka część miasta leży nad nim ani jak daleko jest do powierzchni. To podziemne miasto miało wiele różnych poziomów, wzdłuż fundamentów, kanałów i rur, kanałów ściekowych i przepompowni. Po raz pierwszy poczuł się autentycznie uwięziony i naprawdę wystraszony.

Ulica prowadziła cały czas prosto, kończąc się przy przyporowej ścianie fundamentowej. Po obu stronach widać było drzwi i okna. Mieszkali tu ludzie. Były sklepy, niektóre fantazyjnie egzotyczne, jak do handlu powozami, inne – po prostu sklepy.

Odchodziło od niej kilka mniejszych uliczek, ciemniejszych i bardziej krętych. Durham zanurzył się w jednej z nich, zatrzymując się na chwilę, by spojrzeć za siebie. Za rogiem rączo jak jelenie biegła młoda bladozielona para, która siedziała przy drugim stole u Varnika. W sposobie, w jaki go ścigali było coś, co wywołało w żołądku Durhama dreszcz niekłamanego przerażenia.

Znowu zerwał się do biegu, najszybciej, jak potrafił, zastanawiając się, kim oni u diabła są i czego od niego chcą.

Czego ktokolwiek mógłby chcieć od niego i od tego drobnego sekreciku, który nosił w głowie?

Wąska uliczka wiła się i kluczyła. Słyszał za sobą kroki. Wyraźnie rozbrzmiewały echem wzdłuż sklepienia sufitu. Jeden. Dwa. Zbliżały się szybko. Zauważył jakiś otwór, niezbyt szeroki, zwykła przerwa w murze. Wszedł w nią, było tam dosyć ciemno. Wiedział, że nie da już rady dużo dalej uciekać, i fakt ten powiększał ciężar jego wstydu. Był czas, kiedy taki sprint, ledwie przyśpieszyłby mu oddech. Na chwiejnych nogach szukał jakiegoś miejsca aby się ukryć, ale nic takiego nie znalazł, serce waliło mu i trzepotało o żebra, a mokre mięśnie ud były jak napięte jak struny.

Była to zwykła kwadratowa dziura z pustymi ścianami dookoła i wielką pokrywą włazu pośrodku. Oprócz przejścia, przez które wszedł, widać było inną wąską drogę, którą mógł wyjść, ale przez nią zbliżał się Varnik, biegnący trochę krzywo i ciężko dyszący. Zatrzymał się, kiedy zobaczył Durhama. Baya, poruszająca się ostatkiem sił, prawie na niego wpadła. Varnik chrząknął i skoczył.

Durham nie stawił mu zbyt zaciekłego oporu. Nigdzie by go to nie doprowadziło. Mężczyzna o skórze w kolorze śliwki uderzył go kilka razy z czystej urazy, przeklinając Durhama za kłopoty, za siniaki na brzuchu, za zmuszenie go do biegania w tak wyczerpujący sposób. Baya stała obok i patrzyła.

— Będziesz teraz się zachowywać? — zażądał Varnik. Uderzył ponownie Durhama, a Durham popatrzył na niego oszołomionym wzrokiem i poczuł, jak świat przechyla się i odpływa od niego.

Nagle pojawiły się nowe głosy, kroki, zamieszanie. Przewrócił się, wydawało mu się że trwa to bardzo długo, ale tak naprawdę upadł tylko na ręce i kolana.

Na kwadratową przestrzeń wyszła młoda para. Byli to drobni, gibcy ludzie, umięśnieni jak oceloty, skóra ich twarzy miała bladozielony kolor, bardzo ładny i charakterystyczny dla kilku różnych ras, ale z tego powodu nie nadający się do identyfikacji. Tunika dziewczyny zsunęła się na piersi, w tym miejscu jej skóra była przezroczysto złota, jak świeże wiejskie masło. Oboje w silnych, drobnych dłoniach trzymali pistolety i zaczęli rozmawiać o Durhamie z Varnikiem i Bayą.

— Przesłuchamy tego człowieka sami.

— O, nie — odparł ze złością Varnik. — Nie pozwolę wam na to.

Baya pochyliła się nad Durhamem.

— Chodź, kochanie — poprosiła go. — Wstań. — Jej głos brzmiał wręcz jak gruchanie. Obcym zaś powiedziała: — Wcale nie taka była nasza umowa.

— Przegrałaś — powiedziała dziewczyna o dwukolorowej skórze i strzeliła promieniem z przerażającą dokładnością, dokładnie między nimi. Kawałek ściany za ich plecami stopił się i zapłonął. Oczy Varnika otworzyły się szeroko.

— Cóż — stwierdził. — Cóż, jeśli tak bardzo się upieracie.

Odwrócił się. Baya zawahała się i lufa pistoletu zaczęła przesuwać się w jej stronę. Warknęła coś pod nosem we własnym języku i postanowiła pójść za Varnikiem.

Durham wygiął pod sobą ręce i nogi. Nie wiedział, co zamierza zrobić, ale wiedział, że kiedy zostanie sam z dwoma małymi nieznajomymi, w końcu zacznie mówić, a wtedy nie będzie już miało większego znaczenia, co się z nim stanie.

Oznajmił im z nadzieją w głosie:

— Złapaliście niewłaściwego człowieka. Nie wiem…

Było ich pięcioro na tej niewielkiej przestrzeni. Dwie stojące naprzeciw siebie pary i Durham na kolanach, między nimi. I wtedy pojawiło się coś jeszcze.

Był to kolczasty cień, idealnie czarny, o nieokreślonej wielkości i niemożliwym do stwierdzenia kształcie, z wyjątkiem tego, że był kolczasty.

Baya nie była w stanie krzyczeć. Przytuliła się do Varnika i oboje cofali się do wylotu przejścia. Młoda para zbladła pod swoją zielenią i oni też się cofnęli. Durham przykucnął na ziemi.

Cień podskoczył, przetoczył się i wystrzelił w powietrze, zawisł jak chmura nad głową Durhama. Nagle wrzasnął wysokim, bezbarwnym głosem, podobnym do głosu głuchego dziecka, wydając bełkot, w którym jedna sylaba brzmiała wyraźnie, powtórzona kilka razy.

— Jubb! — zawołał cień. — Jubb! Jubb! Jubb!

III

Jubb.

Mogło to być imię, przekleństwo lub okrzyk bojowy. Cokolwiek by to nie było, młodej parze się nie spodobało. Ich twarze wykrzywiły się, zmieniając się w pełne nienawiści maski. Oboje unieśli broń w stronę cienia, a cień zaśmiał się. Nagle zebrał się, skurczył i wystrzelił na nich.

Durham usłyszał jak krzyczą, z bólu lub ze strachu lub z obu tych powodów, a potem do jego uszu dobiegł tupot ich butów, ale nie patrzył co się z nimi stało. Sam uciekał wąską uliczką, której nie blokowali już Varnik i Baya. Kiedy dotarł do jej końca, znalazł się na dobrze oświetlonej ulicy, na której było wielu ludzi, ale nadal nie czuł się bezpiecznie.

Varnik i Baya nie uciekli daleko. Baya opierała się o ścianę dysząc z szeroko otwartymi ustami. Nie była przyzwyczajona do biegu. Varnik stał obok niej, wyglądał na nadąsanego. Popatrzył groźnie na Durhama, kiedy ten wyłonił się z uliczki.

Durham zatrzymał się, szykując się i gotów podnieść krzyk o pomoc. Ale Varnik pokręcił głową.

— Nyuh! — powiedział.

Baya wysapała:

— Co się stało, boisz się?

— Tak — przyznał Varnik. — Tych dwoje małych, zielonych nie gra w to dla zabawy. A ten czarny… — Zadrżał. — Boję się. Do zobaczenia, Baya.

Odszedł. Baya była bliska łez, częściowo wskutek własnego strachu, częściowo z wściekłości i frustracji. Ale nie płakała. Odwróciła się i popatrzyła na Durhama.

— Co w ciebie wstąpiło? — spytała. — Wszystko było przygotowane, a ty musiałeś to zniszczyć. — Rzuciła w niego przekleństwem. — To takie do ciebie podobne, Lloyd, kosztowałeś mnie niezłą kupkę pieniędzy.

— Kim są ci ludzie, Baya?

— Nie powiedzieli mi. A ja nie pytałam.

— Kompletnie obcy, co?

— Pojawili się dziś po południu w moim mieszkaniu. Myślę, że to raczej ty powinieneś ich znać. To nie są ludzie, z którymi ja przestaję.

— Nie. — Zmarszczył brwi, wciąż ciężko oddychając i ocierając pot z twarzy. — Skąd o nas wiedzieli?

Wzruszyła ramionami i złośliwie stwierdziła:

— Ktoś musiał im powiedzieć. No cóż, na razie, Lloyd. Życzę ci tyle szczęścia, na ile zasługujesz.

Odeszła powoli, poprawiając włosy i prostując swoją białą suknię. Nie obejrzała się. Durham obserwował ją przez chwilę. Potem zaczął iść tak szybko jak tylko mógł, w przeciwnym kierunku, trzymając się najjaśniejszego światła. Po chwili znalazł ruchome schody. Wjechał nimi dwa poziomy do góry, cebulki włosów przez cały czas go mrowiły i rzucał nerwowe spojrzenia za siebie przez ramię oraz w powietrze nad głową.

Jubb. Jubb. Jubb.

Zazdrościł Varnikowi, który mógł sobie odejść i o wszystkim zapomnieć.

Kiedy wynurzył się na powierzchnię, była jeszcze noc. Wyglądało na to, że cień nie podążał za nim, ale nie był w stanie tego powiedzieć z pewnością. Nawet miasto tak doskonale oświetlone jak Ośrodek, w nocy zawsze ma zacienione zakątki. Wciąż nasłuchiwał czy nie usłyszy tego wysokiego, stanowczego, pohukującego głosu. Nic się do niego nie odezwało, więc przywołał taksówkę powietrzną, przerażony tym, jak mało czasu zostało mu na złapanie odlatującego przed świtem promu.

Udało mu się prawie w ostatniej chwili. Znalazł miejsce po ciemnej stronie i usadowił się na czterogodzinny lot, a wtedy wszystko natychmiast się na niego zwaliło i zaczął dygotać z nerwów. Siedział w fotelu w szponach gwałtownej reakcji, przeżywając na nowo instrukcje Hawtree, wieczór z Bayą i koszmar ucieczki podziemnymi ulicami oraz pojawienia się cienia. *Ciemne ptaki wkrótce wylecą*. Czy to wystarczało, aby ludzie mogli zabijać? Mogło, jeśli interesowali się tymi statkami, ale młoda para nie wyglądała na takich. A cień?

Wzdrygnął się i wyjrzał przez iluminator. Długi, cienki cień statku ciągnął się w nieskończoność w kosmos, ale wokół niego było światło, a krzywizna planety w dole jaśniała blaskiem złota. Tam na ziemi, pozostał Hawtree i znaczna część jego życia. W górze, przed nim, wisiała ogromna chłodna tarcza księżyca, i to była przyszłość, kompletnie niezbadana. Durham ścisnął zimne dłonie między kolanami i pomyślał: Muszę to zrobić, zachować trzeźwość i wykonać zadanie, trochę dla Hawtree, ale głównie dla siebie. Człowiek nie może dwukrotnie spojrzeć na siebie tak jak ja, dzisiejszego wieczoru. Raz, to wszystko co może znieść. I raz powinno wystarczyć.

Jasność rozmyła się i rozpłynęła. Po chwili zasnął, a jego sny wypełnione były pohukiwaniem cieni: „Jubb! Jubb! Jubb!”.

Cztery godziny później Durham szedł przez ogromną główną rotundę księżycowego portu kosmicznego, i upuścił swój mały pakiecik złożony z paszportu i biletu, tak swobodnie jak tylko mógł. Podszedł dalej w stronę stoiska z gazetami i udawał, że przegląda mikroksiążki za pół kredyta, czekając.

Stojąc tam, zastanawiał się. Zastanawiał się, skąd młoda para dowiedziała się o Bayi. Zastanawiał się, czym był ten cień i skąd się wziął, dlaczego bronił go przed młodą parą i co oznaczało dość absurdalne słowo „Jubb”. Zastanawiał się, czy nie oszalał, nie odbierając swojego biletu na Ziemię i nie wykorzystując go.

Bardzo chciało mu się napić czegoś mocniejszego.

Przyszedł do niego człowiek w mundurze i powiedział:

— Zdaje się, że pan to upuścił, proszę pana.

Wyciągał w jego stronę paszport, ze złożonym biletem. Durham obejrzał je, schował do kieszeni i dał napiwek mundurowemu, który odszedł. Durham kupił trzy mikroksiążki i ruszył dalej. Nie dostrzegał, żeby ktokolwiek go obserwował, i powiedział sobie, że to tylko nerwy sprawiają, iż po plecach przechodzą mu dreszcze, jakby wwiercało się w nie całe mnóstwo spojrzeń.

W jego papierach zostały dokonane odpowiednie zmiany. Nazywał się teraz John Mills Watson i miał opłacony przelot na Nanta Dik na pokładzie frachtowca *Margaretta K*. Nadal potrzebował drinka. Z determinacją, żeby nie pójść i go nie kupić, ponuro skierował się w stronę schodów prowadzących na dół, do postoju portowych taksówek. Niemal już wszedł na nie, gdy z głośników w całej ogromnej rotundzie zahuczał głos, mówiący:

— Pan Lloyd Durham, proszony jest o przyjście do punktu informacyjnego.

Durham wzdrygnął się, jakby ktoś go uderzył. Pomyślał, to Hawtree wysłał wiadomość, dla przypomnienia. A może to była pułapka.

Ostrożnie podszedł do punktu, podczas gdy jego nazwisko nadal rozbrzmiewało z głośników. Ktoś tam był. Kobieta, odwrócona do niego plecami. Nie widział tych pleców od ponad roku, od nocy wypadku, ale nie zapomniał ich.

— Witaj, Susan — powiedział.

Odwróciła się, a on dodał gorzkim tonem:

— Nie musiał cię przysyłać. — Był przekonany, że przyszła aby go odwołać.

Wydawała się zaskoczona.

— Kto?

— Twój ojciec.

— Tato? Dobry Boże, Lloyd, chyba nie myślisz, że on wie, że ja tutaj jestem! — Była wysoka, tak jak ją pamiętał, śliczna, pięknie ubrana i bardzo pewna siebie. Uśmiechnęła się, jednym z tych pozbawionych humoru uśmiechów, a potem zapytała: — Ile masz czasu do startu?

Durham odparł powoli:

— Wystarczająco dużo.

— Nie możemy tu rozmawiać.

— Nie. Chodź, postawię ci drinka.

W milczeniu poszli do zatłoczonego, hałaśliwego baru w porcie kosmicznym. Znaleźli miejsce i usiedli. Durham zamówił. Susan Hawtree siedziała, otwierając i zamykając torebkę, jakby operacja ta budziła jej ogromne zainteresowanie.

Zapytał:

— Dlaczego tu przyszłaś?

— Wydawało się, że ktoś powinien cię pożegnać.

— Kto ci powiedział, że wyjeżdżam?

— Mam przyjaciółkę w biurze podróży. Powiedziała mi, że ktoś, kogo znam, rezerwuje przelot do domu.

— Wygodnie.

— Tak.

Przybyły drinki. Wokół rozlegał się gwar głosów, mówiących tysiącami języków, śmiejących się, płaczących, witających się i żegnających do następnego spotkania. Susan obracała kieliszek w palcach, a Durham ją obserwował.

— Przepraszam cię, Lloyd. Przepraszam, że wszystko nie potoczyło się inaczej.

— Tak. Ja też.

— Mam nadzieję, że będziesz miał więcej szczęścia w domu.

— Dzięki.

Kolejna chwila milczenia, podczas której Durham usilnie próbował domyśleć się, o co jej chodzi.

Powiedział:

— Słyszałem, że próbowałaś namówić ojca, żeby dał mi jeszcze jedną szansę. Dziękuję za to.

Patrzyła na niego tępym spojrzeniem i pokręciła głową.

— Wiesz, co tata o tobie myśli. Nawet nie odważyłam się wymienić twojego nazwiska.

Na dnie żołądka Durhama pojawiło się uczucie zimna. *To ktoś inny, Lloyd, ktoś inny chciał, żebyś dostał jeszcze jedną szansę.* Czyżby prezent dla córki?

Albo, wielkie paskudne kłamstwo?

Spójrzmy prawdzie w oczy, Durham, dlaczego Hawtree miałby wysyłać cię z misją do tej zawszonej dziury? W Ośrodku jest dziesięć miliardów ludzi. Z łatwością mógł znaleźć kogoś innego.

Cała ta sprawa cuchnie. Śmierdzi.

Ale, zaraz. Przypuśćmy, że przysyłał tu Susan, żeby mnie przetestowała; żeby sprawdziła, czy nie będę mówić? Niezbyt wiarygodne, ale przyjemniejsze niż inne alternatywy. Zobaczmy.

— Susan. Posłuchaj, mogę to powiedzieć teraz, bo jadę do domu i to już koniec. Już się nie zobaczymy. Nie powinienem zaręczać się z Willą, nie kocham jej. Przez cały czas, to byłaś ty.

Zauważył chwilowy błysk łez w jej oczach i poczuł strach. Łzy za nim? Ze strony Susan Hawtree?

— To dlatego poleciałam z tobą tamtej nocy — szepnęła. — Pomyślałam, że mogę cię jej odebrać. Pomyślałem, że mogłabym sprawić,

byś został tym, kim powinieneś – och, do cholery, Lloyd, w ogóle nie powinnam tu przychodzić!

Poderwała się i szybko odeszła od stołu. Poszedł za nią z szeroko otwartymi oczami i ustami, a w jego wnętrzu działo się coś bardzo dziwnego.

Jedno było pewne. Nie była wtyczką.

— Susan.

— Nie musisz już iść na pokład, czy coś podobnego?

— Tak, ale… Susan, zejdź ze mną na dół, chcę z tobą porozmawiać.

— Nie ma o czym rozmawiać.

Ale weszła z nim na schody i zjechała na dół, z odwróconą od niego twarzą i głową uniesioną tak wysoko, iż wydawało się, że jest wyższa od niego.

— Susan — powiedział. — Czy myślisz, czy mogłabyś mi dać…

Nie, to nie jest właściwe posunięcie. Ale co jej powiedzieć - Susan, jestem już innym człowiekiem. Susan, zaczekasz na mnie?

Schody łagodnie zwiozły ich na bardzo długą platformę. Znajdował się na niej tłum ludzi wsiadających do niekończących się rzędów fioletowych jednoszynowych taksówek, które podjeżdżały po obu jej stronach.

— Susan.

— Do widzenia, Lloyd.

— Nie, chwileczkę. Proszę. Nie wiem jak…

Nagle, nie byli sami. Dołączyła do nich młoda para. Kolor ich skóry zmienił się z bladozielonego na ciepły, opalony pomarańczowy, a ich ubrania były inne, ale Durham rozpoznał ich bez trudności. Twardy przedmiot szturchnął go w bok, i młody człowiek z uśmiechem powiedział do niego:

— Wsiadaj do tej taksówki.

Młoda kobieta, również uśmiechnięta, poleciła Susan Hawtree:

— Nie krzycz. Bądź cicho.

Twarz Susan zbladła. Spojrzała na Durhama, a Durham powiedział do młodego mężczyzny:

— Puść ją, ona nie ma z tym nic wspólnego!.

— Wsiadać do taksówki — odparł młody człowiek. — Obydwoje.

— Myślę — stwierdziła Susan — że lepiej to zróbmy.

Wsiedli. Drzwi za nimi zamknęły się automatycznie. Młody człowiek wolną ręką wyjął bilet z numerem kodowym obszaru dokowania statku na górze i włożył go w gniazdo skanera. Taksówka kliknęła, zanuciła i gładko odjechała.

Durham zobaczył bilet, gdy młody człowiek wyjął go ze skanera. Był na lot na Nanta Dik na pokładzie frachtowca *Margaretta K*.

IV

Tory jednodnoszynówek wychodziły na powierzchnię całymi wiązkami, jak ogromne, masywne kable, a następnie zaczynały się rozgałęziać.

Poszczególne „druty” tych „kabli” ostatecznie rozprzestrzeniały się w sieć pokrywającą cały księżyc. Taksówka przyspieszyła, klikając w punktach skrętów i rozgałęzień, wybierając drogę na jedyny właściwy tor, który prowadził ją w miejsce wskazane przez skaner. Durham był świadom obecności niezliczonych innych jednoszynowych taksówek, pędzących jak szalone we wszystkich kierunkach, innych typów maszyn poruszających się pod powierzchnią, ruchomych dźwigów, które przemieszczały się jak ogromne budowle. Horyzont wypełniony był unoszącymi się w górę nosami wielkich statków, wyglądających jak wieże jakiegoś fantastycznego miasta. Obok niego jechała sztywna i rozdygotana Susan Hawtree, a przed nimi na drugim siedzeniu siedziała dwójka młodych ludzi z bronią.

Durham powiedział pełnym gniewu i strachu głosem:

— Dlaczego musieliście ją w to wciągnąć?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Być może jest częścią konspiracji. A w każdym razie podniosłaby alarm.

— Co masz na myśli, mówiąc o konspiracji? Wracam do domu, na Ziemię. Ona przyszła się pożegnać… — Durham pochylił się do przodu. — Jesteście tymi samymi draniami z ostatniej nocy. Co wy…

— Proszę — stwierdził pogardliwie mężczyzna. Wskazał pistoletem. — Oboje macie siedzieć spokojnie z rękoma za głową. Wanbecq-ai was przeszuka. Jeśli któreś z nich spróbuje przeszkadzać, drugie będzie za to cierpieć.

Żylasta młoda kobieta wykonała swoją pracę szybko i sprawnie.

— Nie mają broni — oznajmiła. — Hai! Wanbecq, spójrz tutaj!

Zaczęła coś bełkotać w dziwnym języku, wskazując na paszport i bilet Durhama, a potem na kartę identyfikacyjną Susan. Wąskie oczy Wanbecqa zwęziły się jeszcze bardziej.

— A więc — powiedział do Durhama. — Pańskie nazwisko trochę się od wczoraj zmieniło, panie Watson. A jak na kogoś, kto wraca na Sol III, wybrał pan strasznie okrężną drogę.

Susan wpatrywała się w Durhama.

— O czym on mówi?

— Nieważne. Posłuchaj, ty… Wanbecq, czy tak się nazywasz? Panna Hawtree nie ma z tym nic wspólnego. Jej ojciec…

— Jest częścią ambasady, która pana wysłała — powiedział Wanbecq, przesuwając palcem po karcie identyfikacyjnej Susan. Proszę nie oczekiwać, że uwierzę w jakieś głupoty, panie Watson-Durham.

Zaczął mówić coś szybko do Wanbecq-ai. Skinęła głową i oboje zwrócili się do Susan.

— Oczywiście panią wysłano z instrukcjami dla pana Durhama. Powie nam pani teraz, jakie one były?

Twarz Susan była tak pusta ze zdumienia, że Durham wybuchnąłby śmiechem, gdyby sytuacja nie była tak skrajnie mało zabawna.

— Nikt mnie z niczym nie przysłał. Nikt nawet nie wie, że tutaj jestem. Lloyd, czy ci ludzie są szaleni? Oszaleliście? Co tu się dzieje?

Odparł:

— Sam nie jestem pewien. Ale sądzę, że są tylko dwie możliwości. Po pierwsze, twój ojciec jest łajdakiem. Po drugie, jest głupcem, którego wykorzystują łajdacy. Ja jestem kozłem ofiarnym.

Jej białe policzki stały się kompletnie czerwone. Dwukrotnie próbowała coś odpowiedzieć Durhamowi. Potem odwróciła się i powiedziała do Wanbecqów:

— Mam tego dość. Wypuśćcie mnie.

Ledwie na nią spojrzeli i kontynuowali swoją rozmowę.

— Równie dobrze możesz się odprężyć — powiedział do niej Durham potocznym angielskim, mając nadzieję, że Wanbecqowie tego nie zrozumieją. — Przykro mi, że się w to wpakowałaś i spróbuję jakoś cię z tego wyciągnąć, ale nie rób nic głupiego.

Obrzuciła go określeniem, którego z pewnością nie poznała w salonach ambasady. W kadłubie taksówki znajdował się ręczny przełącznik, umieszczony wysoko i zabezpieczony specjalnym plastikiem. Było na nim napisane W RAZIE AWARII. Susan zdjęła but i zamachnęła się.

Plastik się rozpadł. Susan upuściła but i złapała za przełącznik. Wanbecq coś wrzasnął. Wanbecq-ai rzuciła się całym ciałem na Susan i sprowadziła ją z powrotem na siedzenie. Używała trzymanego na płask w dłoni pistoletu, wyłącznie jako maczugi. Susan wydała z siebie wściekły jęk.

Durham, ruszył do akcji bardziej kierowany instynktem niż świadomym myśleniem, chwycił uniesione ramię Wanbecq-ai i ściągnął ją, krzyczącą na swoje kolana. Wanbecq zerwał się na niego z przeciwnego siedzenia.

— Nie — oznajmił Durham.

W jednej ręce trzymał nadgarstek Wanbecq-ai, a w drugiej jej szyję i nie był zbyt delikatny. Wanbecq-ai zasłaniała go, a oboje razem osłaniali Susan. Wanbecq stał na ugiętych kolanach, gotów do skoku, a jego pistolet poruszał się niepewnie w przód i w tył. Wanbecq-ai przestała krzyczeć. Jej twarz pociemniała. Susan skuliła się tam, gdzie była, na wpół oszołomiona. Durham poprawił uścisk na ręce Wanbecq-ai i wziął jej broń w swoją dłoń.

— A teraz — powiedział do Wanbecqa. — Rzuć swój.

Wanbecq upuścił swój pistolet. Durham przyciągnął go piętą, aż znalazł się między jego stopami. Potem z całej siły cisnął Wanbecq-ai w jej męża. Poleciała jak szmaciana lalka i kiedy Wanbecq nią się zajmował, Durham zdołał podnieść drugą broń.

Susan uniosła głowę. Rozejrzała się szklistym wzrokiem, a potem z uporem wstała.

Durham powiedział ostro:

— Usiądź!

Susan sięgnęła do dźwigni awaryjnej.

Durham uderzył ją w brzuch grzbietem lewej ręki, nie odważając się oderwać wzroku od Wanbecqów. Zgięła się i usiadła z powrotem. Durham powiedział:

— W porządku, do cholery, wszyscy – usiądźcie spokojnie!

Taksówka pędziła po szumiącej szynie, coraz dalej i dalej w głąb portu kosmicznego. W dole przemykały szerokie, puste przestrzenie pełne stanowisk startowych i stojących na nich wielkich statków, z opuszczonymi ogonami i dziobami sterczącymi wysoko w górę, ponad jednoszynową kolejką, wznoszących się nad taśmociągami towarowymi i mnóstwem maszyn, które je obsługiwały.

Z przodu widać było ostrą linię zmierzchu, a za nim, szybko nadchodzącą, księżycową noc.

Durham zapytał Wanbecqa:

— O co w tym wszystkim chodzi?

Wanbecq prychnął.

— Wiesz — powiedział Durham, — mamy prawo zabraniające zmiany koloru skóry w celu popełniania przestępstw. Dlatego, aby nie można było obwinić niewłaściwej rasy ludzi. Jest też prawo zabraniające noszenia śmiercionośnej broni. Istnieje nawet, żeby było weselej, prawo przeciwko szpiegostwu w Ośrodku. Wiesz, że mam zamiar przekazać cię władzom?

Wanbecq znowu prychnął. Był pełnym nienawiści małym człowieczkiem, ale wyglądał tak młodo i z taką dumą gotów był na męczeństwo, że Durhamowi prawie zrobiło się go żal.

Prawie. Nie do końca.

— Po namyśle jednak — dodał po chwili — myślę, że zostawię was oboje Jubbowi.

To był przypadkowy strzał, wywołany wspomnieniem, wyrazu ich twarzy, kiedy istota-cień rzuciła im w twarze to słowo. Trafił. Twarz Wanbecqa wykrzywiła się fanatyczną nienawiścią, a Wanbecq-ai, pocierając gardło, wychrypiała:

— A więc jest pan w sojuszu z Bestią.

Wymówiła tę nazwę wyraźnie z dużej litery.

— A kto powiedział, że jestem? — zapytał Durham.

— Ciemny ptak przyszedł panu z pomocą. Powiedział nam, że Jubb rości sobie pretensje do pana.

— Tak? — odparł miękko Durham. — Naprawdę?

Ciemne ptaki wkrótce wylecą. Określenie ciemne ptaki ponoć miało odnosić się tylko do paru statków kłusowniczych. Tak pan twierdził, panie Hawtree.

— Co to jest ciemny ptak? Czy chodzi o to stworzenie z cienia?

— To słudzy, rodacy Bestii — oznajmił Wanbecq. — Instrumenty, za pomocą których ma nadzieję zniewolić całą ludzkość. Niech pan nie udaje, że pan nie wie, panie Durham.

— Nie udaję. Ten Jubb – kim on jest poza tym, że jest Bestią?

Wanbecq popatrzył na niego, a Durham wykonał groźny gest.

— No, dalej, chcę wiedzieć.

— Jubb jest władcą Senya Dik.

— Senya Dik?

— To nasza siostrzana planeta. Mroczna i zła siostra knująca nasze zniszczenie. Siostra demon, panie Durham. Czy słyszał pan kiedyś o Gorzkiej Gwieździe?

— Nigdy o niej nie słyszałem, ale wydaje mi się to bardzo interesujące. Kontynuuj.

— Ten kto kontroluje ciemne ptaki, kontroluje Gwiazdę, a ten kto kontroluje Gwiazdę, może zniszczyć wszystko, co zechce. To jest Jubb. — Wanbecq wyciągnął ręce. — Jest pan przecież człowiekiem, panie Durham. Jeśli zaprzedał pan swoją duszę, niech pan ją odbierze z powrotem. Proszę walczyć z nami, a nie przeciwko nam.

— Zakładam — powiedział Durham, — że Jubb nie jest człowiekiem.

Wanbecq-ai wydał z siebie nagły odgłos niesmaku.

— To głupie, panie Durham. Jeśli pan tak mało wie, to po co w ogóle leci pan na Nanta Dik?

Durham nie odpowiedział. Nie potrafił na to odpowiedzieć. Ciekawe, czy w ogóle kiedykolwiek będzie potrafił.

— Jeśli jest pan aż takim ignorantem — ciągnął złośliwie Wanbecq-ai — to oczywiście nie wie pan, że terrański konsul, Karlovic, siedzi aż po uszy w intrydze, spiskując z Jubbem, aby zawrzeć ten traktat Federacji.

Durham wyprostował się.

— Traktat czego?

— Sektor — powiedział powoli Wanbecq — będzie należał albo do rasy ludzkiej, albo do bestii, ale nie może należeć do obu.

— Federacji — powiedział Durham, sam odpowiadając na swoje pytanie.

I nagle wiele nie pasujących do siebie rzeczy, zaczęło łączyć się w jedną całość, która wciąż jeszcze była mętna, ale zaczynała nabierać złowieszczo wyraźnych kształtów. Aby jakiś układ słoneczny mógł zostać członkiem Federacji, jego planety członkowskie musiały osiągnąć między sobą jedność, ze wspólnym obywatelstwem, wspólną radą, wspólnymi prawami. Aby sfederowany mógł zostać podsektor, wszystkie jego układy słoneczne musiały osiągnąć podobne porozumienie.

W tym przypadku, ponieważ układ dwóch Dik był jedynym zamieszkałym w podsektorze, te dwa warunki były tożsame. Los 9G zależał wyłącznie od działań tych dwóch planet.

Gdyby 9G pozostał poza Federacją, firma lub firmy zajmujące się wydobyciem lub inną działalnością na podstawie miejscowych licencji, mogłyby nadal działać, w niemal dowolnie wybrany przez siebie sposób, pod warunkiem, że będą dopieszczać lokalnych urzędników. Mogliby oskubać cały ten region z zasobów mineralnych, zgromadzić niewiarygodne fortuny i zostawić miejscowe planety z niczym. Ale jeśli 9G stanie się członkiem Federacji, natychmiast wkroczy tam prawo Federacji i Federacja zacznie je egzekwować, a gdyby doszło do nadużyć praw tubylców, osoby odpowiedzialne za to zostałyby ukarane.

Powiedzmy, że jest pewna firma. Powiedzmy, że istnieje związek między nią a Hawtree. Powiedzmy i powiedzmy.

Z szybkością około trzystu mil na godzinę, taksówka wjechała w strefę zmierzchu. Światło włączyło się automatycznie. Na zewnątrz szybko zrobiło się ciemno, a ciemność ta przemykała za oknami i błyszczała milionem lamp.

— Kto — spytał Durham, — jest zasadniczo przeciwko zjednoczeniu waszych dwóch planet, aby traktat mógł przejść?

— Wszyscy — oznajmił z zawziętością Wanbecq. — Czy mamy zrezygnować z naszych praw, naszej niezależności, naszych ludzkich instytucji, wszystkiego, na czym opiera się nasza rasa…

Wanbecq-ai zawołała:

— Nigdy się nie zjednoczymy, nigdy! Nikt nie zdoła nas zmusić do zdrady naszego gatunku!

Susan zaczęła płakać.

— Proszę — powiedział Durham. — Kochanie. Wszystko w porządku.

— Uderzyłeś mnie.

— Musiałem. Później będzie czas na przeprosiny. Teraz bądź cicho, Susan, proszę. — Zwrócił się do Wanbecqów. — Wszyscy na Nanta Dik tak uważają?

— Wszędzie zdarzają się zdrajcy — stwierdził ponuro Wanbecq. — Niektórzy z nich, niestety, mają władzę.

— To długo nie potrwa — powiedziała Wanbecq-ai. — Niech pan posłucha, panie Durham, jedzie pan na Nanta Dik z wiadomością. Nie jesteśmy jedynymi, którzy chcieliby poznać jej treść. Jubb wysłał do pana ciemnego ptaka. Proszę posłuchać mojej rady. Niech pan przekaże nam swoją wiadomość i wraca do Ośrodka.

Susan wtrąciła gniewnym, zduszonym głosem:

— Chyba oszaleliście. Nikt nie powierzyłby mu nawet wiadomości do mleczarza. Wyleciał z pracy, ponieważ nie można było mu ufać.

Durham powiedział bez cienia urazy:

— Masz absolutną rację, kochanie. I czy dziwnym trafem, nie byłoby właściwe, gdybym właśnie z tego samego powodu odzyskał pracę?

Zwrócił się do Wanbecqów.

— Ktoś wam o mnie powiedział. Kto?

— Wiemy tylko, że to przyjaciel ludzkości.

— Ale ktoś was tu musiał przysłać, z Nanta Dik.

— Na naszej planecie jest wielu przyjaciół ludzkości. Niech pan o nich pomyśli, panie Durham, kiedy będzie pan całował Gorzką Gwiazdę.

Taksówka zwolniła, raptownie lecz płynnie. Rozmyta panorama świateł i statków rozdzieliła się na poszczególne kształty. Durham popatrzył do przodu. Przed nim, na częściowo tylko oświetlonym pasie do lądowania, stał frachtowiec o przysadzistych kształtach, brzydkich i mocnych. *Margaretta K*.

Durham zapytał:

— Kto jest jego właścicielem?

— Universal Minerals.

— A kto jest właścicielem Universal Minerals?

— Myślę, że kilka osób, wszyscy to Ziemianie.

— A kto reprezentuje Universal Minerals na Nanta Dik?

Nieco niechętnie Wanbecq powiedział:

— Jest pewien człowiek, o nazwisku Morrison.

To nazwisko nic nie mówiło Durhamowi. Nie wywołało ono również żadnej widocznej reakcji na twarzy Susan, chociaż przyglądał się jej uważnie.

— A co — spytał — Morrison myśli o ludzkości?

— Proszę spytać Gorzką Gwiazdę — powiedział Wanbecq i taksówka zatrzymała się obok platformy. Durham zauważył, że stoi na niej kilku ludzi. Wanbecq i Wanbecq-ai pochylili się do przodu, wyczekująco.

— Nie — powiedział Durham. – Ja wychodzę, ale wy nie. — Trącił Susan. — Przygotuj się.

Drzwi rozsunęły się automatycznie. Susan wygramoliła się na zewnątrz. Durham wyszedł tuż za nią, wykręcił się jak kot w wejściu i wystrzelił krótkie ostrzegawcze wyładowanie w podłogę u stóp Wanbecqów, którzy podnieśli gorączkowy krzyk i próbowali za nim podążać.

Susan jęknęła, wstrzymując dech:

— Och!

Ludzie, którzy stali na platformie, popędzili teraz w ich stronę. Trzech z nich było szczupłych i mieli skórę koloru masła. Czwartym był krzepki Ziemianin, który zawołał zdumionym tonem:

— Co u diabła…

— Stać! — krzyknął Durham. Pociągnął Susan za sobą i próbował osłaniać się na wszystkie strony naraz, nie wiedząc, czy ludzie byli tam, aby go schwytać, czy tylko przez przypadek i odpowiedzieli na wołanie Wanbecqów o pomoc. — Ci ludzie nas zaatakowali. Mam przelot na waszym statku…

Z głębi nocy rozległo się przeraźliwe, głuche, pohukiwanie-okrzyk:

— Jubb! Jubb! Jubb!

Ludzie o skórze koloru masła zaczęli krzyczeć. Rozbiegli się i uciekli, ich buty szurały po platformie. Ziemianin był wolniejszy i bardziej wojowniczy. Odwrócił się, i wtedy skoczyła na niego mała, kolczasta plamka ciemności. Uniósł pięści i uderzył w nią, a ciemny ptak tylko zahuczał, gdy ręce człowieka przeszły przez niego, trzeszcząc wyładowaniami. Ziemianin, wstrząśnięty, otworzył usta jak szeroko i zesztywniał, unosząc się na czubkach palców. Wydawało się, że ciemny ptak połączył z jego głową tylko na ułamek sekundy, a on padł na ziemię z wciąż otwartymi ustami i ciężko unoszącą się i opadającą klatką piersiową. Ciemny ptak zanurkował w stronę Durhama.

Durham strzelił do niego.

Stwór wchłonął część wyładowania, a resztę zostawił, jak mocno najedzony kot, rezygnujący z nadmiaru mleka. Przeleciał obok Durhama i wpadł do wnętrza taksówki, gdzie odbił się zwinnie, raz czy dwa razy, i wyleciał za zewnątrz. Wanbecq i Wanbecq-ai upadli na podłogę. Drzwi zamknęły się miękko, mechanizm taksówki zatrzeszczał, i szyna zaszumiała, gdy pojazd ruszył z powrotem do głównego terminala. Ciemny ptak wrócił do Durhama.

Susan spytała dziwnym głosem:

— Co to jest?

— Teraz to nieważne. Chodź.

Zaczął ją ciągnąć w kierunku rampy prowadzącej w dół, z platformy. Walczyła z nim. Zaczęła histeryzować, a on jej wcale nie winił. Ciemny ptak podążał za nimi. Kiedy dotarli do ziemi, Susan z uporem zaparła się nogami i odmówiła pójścia dalej.

— Nie śmiem zostawiać cię tutaj samej — wyjaśnił jej z desperacją. — Wejdź na statek, a kapitan dopilnuje, żebyś bezpiecznie wróciła…

Ciemny ptak zatoczył krąg i zanurkował na Susan. Pomknęła jak łania. Zanurkował na Durhama. On też popędził w prawo, do krawędzi pasa, gdzie dogonił Susan. Pobiegli między szopami towarowymi do krańca systemu pasów załadunkowych. Obecnie stały nieruchomo, nie przewożąc żadnego ładunku. Próbowali przebiec przez nie na drugą stronę, ale ciemny ptak zepchnął ich z powrotem. Oczywiście od razu stało się jasne, że to stworzenie ich zaganiało. Krzyczał na nie, żeby zostawiło Susan w spokoju, ale nie zwróciło na niego uwagi. Pomyślał sobie, że jeżeli stwór chce, żeby dokądś poszli, to może ich nie znokautuje. Kto wie? Warto spróbować.

Złapał Susan, zeskoczył z pasa i pobiegli.

Ciemny ptak dotknął go, bardzo delikatnie. Próbował krzyczeć, ale poddał się i chwiejnym krokiem cofnął się tam, gdzie chciano aby poszedł. Każdy jego nerw był napięty i świdrował w okropny na wpół przyjemny sposób, sprawiający, że nogi i ręce poruszały się nienaturalnie, jakby tańczył. Ciemny ptak podążał za nim, znów spokojny i obojętny.

Szli przez pewien czas po pasie. Był luźny, zwisał nieco pomiędzy gigantycznymi rolkami i dudnił im pod nogami, ostro plaskając. Susan potykała się tak często, że wziął ją na ręce i zaczął nieść. Nie było nikogo kogo można by zawołać, nikogo kogo można by poprosić o pomoc. Wysokie statki były daleko od nich.

Ciemny ptak w końcu trącił go ponownie, każąc przejść przez pas do lądowania, w stronę miejsca gdzie samotnie oczekując na zbliżający się start stał bardzo dziwnie wyglądający statek. Jego reflektory migały w dwudziestosekundowych odstępach, nadając wizualne ostrzeżenie, aby się nie zbliżać, a Durham biegł zataczając się, jak w stroboskopowym koszmarze, niosąc w ramionach dziewczynę o białej twarzy.

Ciemność, światło. Czerń, jasność. Przed oczyma unosiła mu się mgła zmęczenia. Coś się w niej poruszało, kształty o urywanych w rozbłyskach światła ruchach, jak w starym filmie, w pornograficznym antycznym fotoplastykonie za pensa. Dzień, noc. Ciemność, jasność. Kształty przysunęły się bliżej, nieludzkie stwory odziane w fantastyczne kombinezony ciśnieniowe. Durham wrzasnął.

Jeszcze raz spróbował ucieczki, ale znów skończyło się to dotknięciem ciemnego ptaka. Powtórnie nastąpiło nieznośne dygotanie nerwów i znowu tańczył w czerni, jasności, dniu, nocy. Tańcząc wpadł do środka czekającego na niego dużego boksu i biegł dalej, aż uderzył w tylną ścianę z twardego metalu. Wtedy odwrócił się i zobaczył, zamykające się z westchnieniem bardzo grube wrota, ich zasuwy wskakiwały na swoje miejsce, trzask-trzask, jedna po drugiej, i było już za późno, aby nawet podjąć próbę wydostania się z tego miejsca.

Położył Susan najdelikatniej, jak potrafił i usiadł koło niej. Podłoga pod nim uniosła się gwałtownie. Gdzieś w górze rozległ się huk i szum urządzeń, a potem nastąpił wykręcający wnętrzności przechył na bok. Na zewnątrz, za dwoma okrągłymi okienkami w ścianie, zmienił się wzorzec włączania i wyłączania świateł. Stały się one stabilne, zielone, w ich świetle jego dłonie odbijały się na kolanach jak dwa wściekle białe motyle. Rozległy się kolejne odgłosy, głuche i dalekie, po drugim przechyle, poczuł unoszenie się i opadanie, a później ogólny ruch obejmujący boks i całe to miejsce, w którym się on znajdował.

Durham ukrył twarz w dłoniach i poddał się.

V

Susan krzyczała. Wypuśćcie mnie, wypuśćcie. Waliła w coś. Durham zmusił się do działania. Musiał się przespać albo straci przytomność. Boks wydawał się w tej chwili zupełnie nieruchomy. Nie odbierało się wrażenia żadnego ruchu. Ale na podstawie zmian grawitacji mógł stwierdzić, że statek znajduje się w kosmosie.

Susan stała przy jednym z okien. Waliła w nie swoim ulubionym narzędziem, obcasem buta. Durham podszedł do niej i wyjrzał. Oblał go zimny pot i złapał ją za rękę.

— Przestań! Oszalałaś?

Wyszarpnął jej but i rzucił nim przez niewielką przestrzeń boksu. Potem obmacał szkło, przyglądając się mu, gorączkowo zaniepokojony, czy gdzieś go nie rozbiła.

— Ja stąd wychodzę — oznajmiła ponuro Susan i po omacku zaczęła szukać czegoś cięższego.

— Popatrz. — Potrząsnął nią i odwrócił jej twarz do okna. — Czy widzisz to powietrze, tam na zewnątrz?

Boks stał obecnie w dużej, pustej ładowni. Widać było krzywiznę kadłuba statku, ożebrowaną potężnymi stalowymi wręgami, i pokład z metalowych płyt, lśniący w zielonym świetle. Zielone światło? Na ziemskich statkach wykorzystuje się żółto-białe światło, takie jakie emituje Słońce. No tak – ale przypuśćmy, że czyjeś słońce jest zielone?

Nanta Dik okrąża zieloną gwiazdę.

Tak samo też Senya Dik. Te stworzenia na zewnątrz statku nie były bynajmniej humanoidami. Zagonił nas tutaj ciemny ptak Jubba. Spokojnie. Wszystko już jest jasne.

— Co z tym powietrzem? — spytała Susan. — Puścić mnie.

— Jest trujące. Nie widzisz, patrząc na nie? — Przewalało się, wirowało i leniwie poruszało w oparach gęstej szarozielonej i jaskrawej zieleni. — I nie pamiętasz, że oni nosili kombinezony ciśnieniowe? Nie mogli oddychać w naszej atmosferze. Z pewnością my nie moglibyśmy oddychać w ich.

Nie było odpowiedzi.

— Susan. Susan?

— Chcę do domu — powiedziała i zaczęła płakać.

— No, Susie. Spokojnie…

— Nie mów na mnie Susie!

— W porządku, ale tylko spokojnie. Dowiem się, jaka jest sytuacja, a potem…

— Co, potem? Narobisz bałaganu, tak jak zawsze. Wpakujesz mnie w jeszcze większe kłopoty, tak jak wciągnąłeś mnie w te. Jesteś nic dobrego, Lloyd, i żałuję, że w ogóle cię spotkałam. Szkoda, że nigdy nie miałam siły powiedzieć ci do widzenia! — Podbiegła do okna i znów zaczęła w nie walić, tym razem pięściami.

Durham odciągnął ją i potrząsnął, aż szczęka jej kłapnęła.

— Przykro mi, że ty też się tutaj znalazłaś — oznajmił gwałtownie. — Jesteś ostatnią osobą w galaktyce, z którą chciałbym wpaść w kłopoty. Cholerna rozpieszczona dziewczyna pozbawiona śladu uczciwości, śladu odwagi, nie mająca niczego, co można by wykorzystać, poza pozycją swojego ojca. — Objął ją mocno ramionami. — Do diabła, nie czas teraz na kłótnie. Oboje trzymajmy lepiej gęby na kłódkę. Chodź, kochanie, jeszcze nie jesteśmy martwi.

Zakrztusiła się lekko i stanęła przy nim drżąca. Potem powiedziała:

— Chyba jakiś czas temu potknęłam się o krzesło. Może jest też lampa. Popatrzmy

Zielone światło było przyćmione, ale ich oczy zaczynały się do niego przyzwyczajać. Znaleźli lampę i włączyli ją. Boks został zalany jasnym białym blaskiem, bardzo przyjaznym dla ziemskich zmysłów. Durham rozejrzał się i powoli stwierdził:

— A niech mnie diabli.

Boks był mniej więcej wielkości małego pokoju. Znajdował się w nim fotel, prycza, kompaktowe szuflady i szafki, zlew, płyta grzewcza oraz zasłonięty narożnik z urządzeniem sanitarnym. Durham odkręcił jeden z kranów. Popłynęła woda. Zakręcił go, podszedł i usiadł w fotelu.

— A niech mnie diabli — oznajmił powtórnie.

— Lodówka — powiedziała Susan, zaglądając do mebli. — Koncentraty spożywcze. Garnki i patelnie. Koce. Ubrania na zmianę – wszystkie męskie. Alkohol, dwie butelki. Stojak z mikroksiążkami. Ktoś zadał sobie wiele trudu.

— Tak.

— Całkiem wygodne. Wszystko, czego człowiek potrzebuje, zupełnie samowystarczalne.

— Acha.

— Ale Lloyd – to jest tylko dla jednej osoby.

Ponuro powiedział:

— Będziemy spali na pryczy na zmianę.

Ale to nie prycza go martwiła. Podszedł i wyjrzał przez drugie okno. Wykręcając szyję, mógł dojrzeć zestaw zbiorników magazynowych, zbiorników ciśnieniowych, pomp, oczyszczaczy, dmuchaw, a wszystko to szczelnie zabezpieczone przed mieszaniem się z obcym powietrzem. To też było tylko dla jednej osoby. Durhama ogarnęła straszliwa klaustrofobia

i przez chwilę patrzył na Susan nie jako na zepsutą i ładną dziewczynę, ale jako na rywalkę do tlenu, który oznaczał życie.

— Lloyd. Ktoś się zbliża — powiedziała Susan.

Przez chwilę myślał, że chodziło jej o wejście do boksu, a potem zdał sobie sprawę, że brzęk, który usłyszał, to zapewne były drzwi włazu ładowni. Dołączył do niej przy przeciwległym oknie.

Do boksu zbliżały się dwa – nie, trzy ciemne kształty, poruszające się szybko poprzez zielone i szare opary. Przemieszczały się falistymi ruchami na dwóch parach krótkich nóg umieszczonych z przodu i z tyłu pod elastyczną dolną częścią ciała. Górne części ciała, które nosiły wyprostowane, były bulwiaste i wysokie, z dobrze zarysowanymi głowami i dwoma zestawami wyspecjalizowanych rąk. Dolne kończyny były grube i mocne, przeznaczone do ciężkiej pracy, górne delikatne, jak precyzyjne narzędzia grawerskie. Ich skóra była lśniąco czarna, wyglądała niemal jak lakierowana. Nosili uprzęże, z czegoś co wyglądało na metalową taśmę, służące jako ubiór, a na przechodzącym w poprzek piersi pasku, każdy miał jakieś insygnia.

— Oficerowie ze statku — domyślił się Durham. — Prawdopodobnie jeden z nich, to kapitan.

— Są straszni — stwierdziła Susan. Cofała się od okna, aż koniec pryczy uderzył ją od tyłu w kolana i usiadła.

Durham roześmiał się.

— Wspaniała z nas para kosmopolitów. Przyzwyczailiśmy się do idei nie-humanoidów. W Ośrodku jest ich wielu, ale w większości są od nas z konieczności odizolowani, więc praktycznie nigdy ich nie spotykamy. Teraz jednak, to nas trzeba było odizolować. A rzeczywistość jest zupełnie odmienna od idei, co?

Sam również cofnął się o krok lub dwa, powstrzymał go dopiero wstyd. Trzej nie-humanoidzi podeszli i popatrzyli wielkimi, opalizującymi oczyma przez okno. Ich dziwnie ukształtowane usta szybko się poruszały, z czego wnioskował, że rozmawiają, a smukłe ręce były tak samo ruchliwe i pełne ekspresji, jak dłonie dziewcząt na herbatce towarzyskiej. Wtedy jeden z nich obrócił się i zrobił coś przy ścianie boksu. Nagle Durham wyraźnie usłyszał ich głosy. Obok okna znajdował się głośnik. Durham rzucił się do niego.

— Słyszycie mnie? Słyszycie mnie, tam na zewnątrz? Słuchajcie, nie macie prawa tego robić, musicie zabrać nas z powrotem! Panna Hawtree jest córką…

— Panie Durham. — Głos był nieludzki, ale silny, a esperanto, którym się posługiwał, całkowicie zrozumiałe. — Proszę się uspokoić i posłuchać, co mam do powiedzenia. Doceniam pańskie uczucia…

— Ha!

— …ale nic nie mogę na to poradzić. Mam swoje rozkazy i zapewniam pana…

— Od Jubba?

— Zostanie pan o wszystkim poinformowany, kiedy dotrze pan na Senya Dik. Tymczasem mogę pana zapewnić, że nie stanie się panu nic złego, ani teraz, ani później. Proszę więc uspokoić swoje obawy. Trochę cierpliwości…

Susan zerwała się. Teraz ona rzuciła się do mikrofonu głośnika.

— A co ze mną?

— Pani obecność jest nieoczekiwana i obawiam się, że będzie to dosyć trudne dla państwa. Ale musicie państwo zorganizować sobie wszystko jak najlepiej. Co do powietrza i wody muszę państwa ostrzec, że zapasy są niewystarczające dla was obojga, chyba że zachowacie ekstremalną dbałość.

Susan wcześniej nie przyszło to do głowy.

— Ma pan na myśli…

— Mam na myśli to, że nie wolno państwu zużywać więcej wody, niż jest to absolutnie niezbędne do picia i przygotowywania posiłków. Pożywienie, które jest, musicie dzielić między sobą, na pół racji. Co do powietrza…

— Właśnie — wtrącił Durham. — A co z powietrzem?

— Z tego co wiem, aktywność przyśpiesza metabolizm, a tym samym powoduje większe zużycie tlenu. Dlatego radziłbym państwu obojgu jak najmniej poruszać się i mówić. Zachowajcie spokój. Zachowajcie ciszę. W ten sposób powinniście być w stanie przeżyć. Nie chodzi o to, że żywimy jakąś urazę. Po prostu nie możemy podzielić się z wami żadnymi z naszych zapasów, ponieważ jesteście zupełnie obcymi formami życia, całkowicie niezgodnymi z nami. Gdybyśmy wiedzieli, że będziecie państwo we dwójkę, przygotowalibyśmy się do tego. W obecnym stanie rzeczy, musicie państwo współpracować ze sobą, aby jak najbardziej oszczędzać to co macie.

— Ale — oznajmiła Susan — ale to niesprawiedliwe, nie w porządku! Zabierzcie mnie z powrotem albo mój ojciec się tym zajmie…

— Pozostawcie państwo ten głośnik włączony — powiedział Senyanin — aby na pewno usłyszeć sygnał dźwiękowy, ciągły dźwięk powtarzany w czterdziestosekundowych odstępach. Przygotujcie się wtedy do wejścia w hipernapęd.

Nie pożegnał się. Po prostu odwrócił się i odszedł ze swoimi dwoma oficerami. Susan krzyczała za nimi. Durham zasłonił jej usta dłonią, złapał ją siłą i położył na pryczy.

— Połóż się — powiedział. — Cicho. Nie słyszałeś go? Nie ruszaj się, nie mów.

Usiadł na krześle, świadomie starając się nie oddychać zbyt głęboko.

— Ale…

— Zamknij się.

— Nie mów do mnie, żebym się zamknęła, Lloyd. To wszystko twoja wina.

— Moja wina? Moja? To, że musiałaś się wepchnąć…

— Wepchnąć się? Ojciec miał co do ciebie rację. I to twoja wina. Gdybyś nie prosił mnie, żebym z tobą zjechała…

— Och, zamknij się, cholera, jak zwykle, kobieta! Nawet gdybyś wiedziała, że twój następny oddech będzie ostatnim, nadal musiałbyś go zużyć na mówienie. Chcesz nas oboje udusić tym swoim gadaniem?

Długo milczała. Wtedy zdał sobie sprawę, że płacze.

— Lloyd, boję się.

— Ja też. — Zaczął się śmiać. — Kiedy tak się nad tym zastanowić, to twój ojciec nas w to wciągnął, oboje. Mam nadzieję, że obgryza z nerwów paznokcie, do krwi.

— Ty pijana, niewdzięczna świnio! Jeśli tata naprawdę dał ci kolejną szansę…

— Stop, stop! Pamiętaj o tlenie! Dał mi. A ja byłem na tyle tępym durniem, iż myślałem, że zrobił to szczerze. Nawet się pozbierałem do kupy. — Ponownie się roześmiał, krótko. — Ogarnięty wdzięcznością, zrobiłem dokładnie to, czego nie powinienem. Wytrzeźwiałem i trzymałem język za zębami.

— Nic nie rozumiem.

— Ja, miałem mówić, Susan. Dostałem wiadomość i miałem ją rozpaplać w całym Ośrodku. Nie wiem dokładnie, co ta wiadomość miała wywołać, kiedy pojawi się w obiegu. Prawdopodobnie wojnę. Ale założę się, że wiem, co spowodowałem, siedząc cicho. Kłopoty twojego starego.

— Nie wierzę w ani jedno słowo.

Durham wzruszył ramionami. Wyciągnięcie ręki i wyjęcie butelki z pobliskiej szafki wymagało bardzo niewielkiego wysiłku. Otworzył ją i pociągnął długiego łyka. Potem popatrzył na butelkę, pokręcił głową i podał ją Susan.

Wydała szydercze prychnięcie, a on ponownie wzruszył ramionami.

— Zgadza się. Zabawna rzecz. Najpierw dotknęły mnie wyrzuty sumienia i zdecydowałem się zachować godnie. Teraz jestem po prostu wściekły. Zanim z tym skończę, mam zamiar spowodować, że twój ojciec zawiśnie wyżej niż Haman[1].

Sygnał dźwiękowy, ostry i natarczywy, brzmiący w jakiś sposób podobnie nieludzko jak głosy Senyan, dobiegł przenikliwie z głośnika.

Susan sapnęła.

— Dokądkolwiek nas zabierają – nie mają zamiaru nas zabić, prawda?

— Myślę, że chcą nas przepytać. Myślę, że stoi za tym jakaś brudna afera, jeden z tych szwindli na miliony kredytów, o których słyszy się od czasu do czasu. I myślę, że twój ojciec siedzi w tym po uszy. Jeśli mam rację, jest to główny powód, dla którego zostałaś zabrana razem ze mną.

— A ja myślę, że jesteś ohydnym, paskudnym kłamcą — odparła głosem, który ledwie był w stanie dosłyszeć.

Sygnał nadal piszczał. Durham podszedł do koi.

— Przesuń się.

— Nie.

Ale nie walczyła z nim, kiedy wepchnął się obok niej i wziął ją w ramiona.

---

[1] Postać ze Starego Testamentu, najwyższy urzędnik króla Persji. Uknuł spisek, aby wymordować wszystkich Żydów w tym kraju. Jak nietrudno się domyślić, skończył na szubienicy (przyp. tłum.).

— Dumna panna Hawtree — powiedział i uśmiechnął się. — Jesteś w totalnym nieładzie. Masz włosy w oczach. Makijaż cały rozmazany. Łzy kapią ci z nosa.

Światło przygasło, stało się dziwne i niesamowite.

— Mogli zrobić tę cholerną koję, trochę szerszą.

— To nie ma znaczenia. Po takiej podróży i tak moja reputacja legnie w gruzach. Nikt nie uwierzy w moje przysięgi.

Materia statku przesuwała się, napinała, ślizgała się, poruszała. Materia ciała Durhama zrobiła to samo. Zacisnął zęby i powiedział:

— Nie martw się, kochanie. Zawsze mogę poprosić kapitana o to, by dał nam ślub.

Zanim sygnał dźwiękowy rozległ się ponownie, zwiastując powrót do prędkości i przestrzeni układowej, wydawało się, że minęły wieki.

Nie rozmawiali już więcej o małżeństwie, nawet żartem. Zaczęli się nienawidzić. „Gorączka kabinowa" – jak przez pewien czas uprzejmie mówili, usprawiedliwiając się. Ale potem już nie zawracali sobie głowy wymówkami. Po prostu normalnie i w milczeniu tkwili we wzajemnej nienawiści, w miarę jak mijał długi okres bez czasu.

Szkoda, naprawdę, pomyślał Durham, patrząc na leżącą na koi Susan. To naprawdę ładna dziewczyna, nawet bez tego całego makijażu, uczesania i niesamowitej bielizny, której kobiety używają do formowania ciała, jakby były półpłynne. Kiedy tak sobie leży rozluźniona, wygląda młodziej, łagodniej; miła i delikatna, jakby chciała cię z powrotem przyjąć w swe ramiona, gdybyś tylko miał siłę i tlen, i gdybyś jej tak nie nienawidził.

— Lloyd?

— Co?

— Jak długo jeszcze, zanim wylądujemy?

— A skąd mam wiedzieć?

— No cóż, mógłbyś się dowiedzieć.

— Sama się dowiedz. Potrafisz krzyczeć równie głośno, jak i ja. A nawet głośniej.

— I będę krzyczeć — oznajmiła złowieszczo Susan. — Jak tylko stąd wyjdę, będę krzyczeć tak głośno, że usłyszy mnie cała galaktyka.

— Myślę, że już usłyszeli cię wszyscy, aż do samej Andromedy.

Światła przygasły. Zaczęły dobiegać dziwne odgłosy i szarpnięcia towarzyszące wychodzeniu z hipernapędu. Durham opanował się w duchu.

— Szkoda, że się zmieniłeś — powiedziała Susan. — Kiedyś przynajmniej stanowiłeś zabawne towarzystwo. Teraz zgorzkniałeś i wiecznie masz muchy w nosie. Jesteś też…

Durham nigdy nie już nie usłyszał, kim jeszcze był. Nastąpiło pełne huku i trzasku, rozdzierające uderzenie. Krzesło wyskoczyło spod niego, i poleciał na sufit twarzą do góry. Światła zgasły zupełnie. Usłyszał cichy, słaby odgłos, który mógł być okrzykiem Susan. Potem sufit odsunął się od niego i zjechał po ścianie. Kiedy przesuwał się po oknie, wyjrzał przez nie i

zobaczył, że w zewnętrznym kadłubie widoczne są teraz długie pionowe pęknięcia, przez które świeciły gwiazdy.

Pompy przestały działać.

Długi, zamierający jęk, a potem cisza. Pole antygrawitacyjne nie działało. Durham unosił się w powietrzu, razem z wszystkim innym, co nie było przykręcone.

— Susan — zapytał. — Susan?

— Tutaj.

Spotkali się razem w powietrzu i przywarli do siebie, podczas gdy kadłub wokół nich zaczął się powoli obracać wokół długiej osi.

— Co się stało?

— W coś uderzyliśmy.

— Senyanie…

— Wszyscy musieli zginąć. Kadłub jest rozbity. Myślę, że to było zderzenie czołowe, dokładnie w chwili, kiedy wyszliśmy z hipernapędu. Nie mieli czasu na założenie pancerzy kosmicznych.

— W takim razie czy…

— Cicho. Nic nie mów. Po prostu poczekamy i zobaczymy.

Trzymali się razem, w ciszy. Kadłub obracał się bezgłośnie, a gwiazdy przeświecały przez długie szczeliny do pustej próżni ładowni.

— Lloyd, nie mogę oddychać.

— Nie, możesz. Nadal mamy tyle samo powietrza, co zawsze. Po prostu teraz ono nie cyrkuluje.

— Nie wiem, czy będę w stanie to wytrzymać, Lloyd. To taki okropny sposób.

— Żaden sposób nie jest dobry. Naprawdę nie będzie aż tak źle. Po prostu odpłyniesz w sen.

— Będziesz mnie trzymał?

— Pewnie.

— Lloyd.

— Co?

— Przepraszam cię.

— Ja ciebie też.

Kadłub obrócił się i zabłysły gwiazdy. Zanieczyszczone powietrze robiło się cuchnące, gęste i ołowiane. Mężczyzna i kobieta unosili się w zamkniętej przestrzeni, mocno obejmując się ramionami, z twarzami blisko siebie.

Coś uderzyło o kadłub.

— Lloyd! Widzę światło!

— To tylko gwiazda.

— Nie. Spójrz przez okno. Porusza się…

Do wraku weszli mężczyźni, ludzie, w kombinezonach ciśnieniowych. Dwóch z nich ciągnęło butle z tlenem. Podeszli do boksu i błyskali światłami przez okna. Pukali i dawali uspokajające znaki. Po minucie lub dwóch w przewodzie powietrznym zasyczał pod ciśnieniem świeży tlen. Susan zaśmiała się krótko, a potem zemdlała. Durham nadal trzymał ją w ramionach. Wszystko zrobiło się przyjemnie ciemne i dalekie, zatracając się w jednym, zwykłej radości oddychania.

Słychać było jakieś odgłosy i ruchy, ale nie zwracał na nie większej uwagi i był lekko zaskoczony, kiedy przypadkiem przeleciał koło okna i zauważył, że na zewnątrz boksu był już tylko kosmos, ogromny i pełen gorących i jaskrawych świateł. Gdy minął drugie okno, zobaczył fragment statku i zorientował się, że boks podnoszony jest przez przestrzeń między nim a wrakiem. Pojawienie się statku we właściwym czasie i miejscu, i to nie byle jakiego statku, ale wyposażonego w wyspecjalizowany sprzęt potrzebny do przemieszczania ciężkich ładunków w przestrzeni kosmicznej, wydawało się niezwykle uprzejmym darem losu.

Potężny właz ładunkowy połknął boks. Susan przyszła do siebie i czekali razem, w lekko histerycznym nastroju. Durham nawet nie zauważył, że razem z boksem na statek wślizgnął się kolczasty cień. Nagle znowu pojawiło się sztuczne światło, a następnie dotarł do nich dźwięk ciężkich pomp powietrznych. Po kilku chwilach pompy zatrzymały się i do ładowni, tak zupełnie po prostu, weszli ludzie i otworzyli wrota boksu.

Nastąpił spory hałas i zamieszanie, wszyscy mówili jednocześnie. Durham zgubił Susan. Był tylko częściowo świadom tego, co się z nim dzieje, ale czuł, że wszyscy spieszą się, aby coś zrobić. Potem znalazł się w kabinie z portem, za którym widać było kosmos, i nagle w kosmosie rozbłysło oślepiająco wielkie światło, i zniknęło.

VI

Morrison stwierdził:

— Morderstwo to bardzo poważne słowo, panie Durham. W końcu oni nie byli ludźmi.

— W prawie Federacji nie ma takiego rozróżnienia.

— Nie podlegamy tu prawu Federacji.

— Nie. A pan zaangażował się w walkę na śmierć i życie, aby upewnić się, że nie znajdzie się pan pod jego władzą. To jest jedna ze stron tej śmierci.

Morrison spojrzał na niego z lekkim zaskoczeniem.

— Rozgryzł pan to, Durham? — Był szczupłym, szarym, życzliwie wyglądającym człowiekiem, w konwencjonalnym typie ojca. Susan patrzyła na niego pustym przerażonym wzrokiem, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. — Nie powiedziano mi, że jest pan aż tak bystry. No cóż, ma pan rację. Universal Minerals i jej różne fikcyjne korporacje w tym podsektorze osiągają takie zyski, że nigdy by pan nie uwierzył, gdybym panu powiedział jak wielkie. I nie mamy zamiaru z tego rezygnować.

— Nawet jeśli trzeba wymordować całą załogę statku. Co zrobiliście, zaholowaliście tam na miejsce asteroidę?

Morrison wzruszył ramionami.

— Kosmiczny gruz nie jest jakąś specjalną rzadkością.

— Nas też mogliście zabić, wie pan o tym — powiedział Durham ze złością. — Mogliście zabić ją. Hawtree by to się nie spodobało.

— To było ryzyko, które trzeba było podjąć. I to rozsądnie niewielkie. — Zmierzył wzrokiem Durhama, od góry do dołu. — Narobił pan nam całe mnóstwo kłopotów. Gdyby mój jacht nie był znacznie szybszy od statku Jubba, nieźle byśmy dostali po głowie. Co się z panem stało? Dlaczego nie zaczął pan mówić, tak jak powinien?

— Umarłby pan ze śmiechu.

— Potrafię kontrolować swoje emocje. Śmiało.

Durham wyjaśnił mu sytuację.

— Cnota — dokończył kwaśno — z pewnością jest nagrodą samą w sobie. Powinienem był pozostać pijakiem. Dzięki temu byłbym szczęśliwszy. Co się stało z Wanbecqami?

Morrison ciągle jeszcze nie mógł opanować śmiechu.

— Kiedy ich taksówka dojechała do stacji końcowej, nie doszli jeszcze do siebie. Zabrała ich policja portowa. — Wyjął z szafki butelkę, i pchnął ją wraz z kieliszkiem przez stolik do Durhama. — Proszę. Zasłużył pan na to. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim Hawtree. A on był taki pewien pana. Po prostu wspaniały przykład, że nikomu nie należy ufać.

Susan spytała:

— Ale *dlaczego*?

Szok sprawił, że jej umysł działał bardzo wolno. Potrzeba było minuty, żeby doszli do tego, że ma na myśli statek Senyan.

Dodała bardzo powoli:

— Czy to o moim ojcu, to prawda?

— Obawiam się, że tak — odparł Morrison. — Ale nie martwiłbym się tym zbytnio. To bardzo bogaty człowiek. Jest też sprytny i w tej chwili wygląda na to, że wszystko z nim będzie w porządku. Niech pan da jej drinka, Durham, ona tego potrzebuje. Czy nie chciałaby pani może się położyć, panno Hawtree? No dobrze, w takim razie, wyjaśnię pani, dlaczego.

Pochylił się nad nią bez cienia życzliwości.

— Proszę mieć to wszystko na uwadze, panno Hawtree, żeby pani zrozumiała, że jeśli kiedykolwiek spróbuje pani posłać mnie na szubienicę, pośle pani na nią również swojego ojca. Jesteśmy wspólnikami, równie winnymi. Rozumie to pani?

— Tak. — Wyglądała tak blado, że Durham się zaniepokoił. Ale nie odzywała się i słuchała.

— Już od lat — powiedział Morrison — zarządzam tutaj firmą, a Hawtree wykorzystuje swoje stanowisko w ambasadzie, aby dopilnować, bym miał wolną rękę. Pilnuje, żeby żadne skargi nie docierały wyżej. Załatwia wszystkie sprawy związane z różnymi irytującymi biurokratycznymi procedurami. A co najważniejsze, pilnuje aby jakiekolwiek oficjalne wiadomości od którejkolwiek z Dik, mogące być dla nas niekorzystne, na trwałe gubiły się w aktach – w tym wszystkie prośby o pomoc w uzyskaniu statusu Federacji. Nasze powiązania, naturalnie, są jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic galaktyki.

— Wszystko szło bardzo gładko, dopóki na Senya Dik nie doszedł do władzy Jubb. Jubb to zdolny przywódca. Wie, co się dzieje z zasobami sektora i zna ten jedyny sposób, aby to powstrzymać. Niestety dla nas, wszyscy przywódcy na Nanta Dik też nie są głupcami, i w ten sposób zaczął się nasilać ruch w kierunku zjednoczenia. Jubb popychał sprawy coraz bardziej, tak że zostaliśmy zmuszeni do podejmowania coraz bardziej energicznych kroków zaradczych. Bardzo przydatne okazały się grupy dążące do ludzkiej supremacji, składające się ludzi takich jak Wanbecqowie. A, oczywiście Senya Dik też ma swoich wariatów, w odwrotnym kierunku, ale równie pożytecznych. Ale Jubb rozpoczął kampanię składania petycji do ambasady. Trwał przy niej tak bardzo, że Hawtree wiedział, iż nie będzie w stanie na zawsze zatrzymać w szufladzie wszystkich petycji. Ponadto, oczywiste było, że Jubb zorientował się, iż gdzieś musi istnieć jakaś zmowa i starał się ją wykryć. A więc Hawtree posłał po mnie.

— A — dorzucił Durham — pan powiedział: „Wywołajmy wojnę między dwiema planetami. Wtedy zjednoczenie nie będzie możliwe, a Jubb będzie miał zbyt wiele na głowie, żeby nam przeszkadzać. Może nawet zostanie wyeliminowany. I zaczął pan szukać kozła ofiarnego.

— Dokładnie. Dostał pan wiadomość o ciemnych ptakach, która mogła mieć znaczenie tylko dla Nantan. Na pańskiej drodze zostali postawieni Wanbecqowie. Wszystko, co musiał pan zrobić, to tylko zacząć mówić.

— A co, gdybym powiedział za dużo?

— A jakim sposobem? Nic pan nie wiedział. Zaś Hawtree miał oczywistą wymówkę, że dał panu tylko bilet do domu, który dla pana kupił.

— A poza tym — zauważył z zamyśleniem Durham — albo leżałbym martwy gdzieś w jakiejś uliczce, albo znajdowałbym się na statku lecącym na Nanta Dik – gdzie nigdy bym nie dotarł.

— No, ta sytuacja była dosyć elastyczna.

Susan powiedziała:

— W takim razie przyznaje pan, że…

Nie mogła skończyć.

Morrison zwrócił się do niej z irytacją.

— Prawie zrujnowała pani nasze plany, panno Hawtree. Zniknięcie Durhama nie wywołałoby żadnych reperkusji, ale zniknięcie córki wysoko postawionego dyplomaty, to zupełnie inna sprawa. Pani ojciec musiał szybko myśleć i jeszcze szybciej mówić, inaczej ciekawość opinii publicznej niemal natychmiast wymusiłaby dochodzenie. Na szczęście pomogli Wanbecqowie. Nakreślili dość ciemny obraz Jubba, a Hawtree udało się załagodzić sytuację, ponieważ wszyscy wiedzieli, że była pani zakochana w Durhamie i najwyraźniej przyszła pani tylko się z nim pożegnać. Hawtree, prawdę mówiąc, zrobił tak dobrą robotę, że jeszcze przed moim wyjazdem cały Ośrodek kipiał z oburzenia na Jubba. Tak więc, pomimo pani zniknięcia, wszystko wyszło doskonale.

— Ale dlaczego musiał pan zniszczyć statek?

— No cóż, jakoś przecież musieliśmy państwa odzyskać. Nie mogliśmy pozwolić Jubbowi, aby użył pana Durhama jako świadka przeciwko nam, a już na pewno nie mogliśmy mu pozwolić na wykorzystanie córki Hawtree, w roli kija na niego. W tej chwili, jak pani widzi, sytuacja wygląda następująco.

Skinął głową w stronę portu w kabinie, za którym jakiś czas temu pojawił się i zniknął jasny rozbłysk, pozostawiając po sobie tylko pustkę.

— Ze statku nie pozostało nic prócz paru rozproszonych atomów i nikt nie będzie mógł powiedzieć, co się z nim stało. Jubb nie ma już państwa obojga, ale nie może tego udowodnić, dopóki będziecie państwo trzymać się na uboczu. A więc schowamy was na jakiś czas, a jednocześnie prasa domagać się będzie od Jubba waszego powrotu. Wyglądać będzie na to, że państwa ukrywa lub zabił w obawie przed wywołaną przez siebie burzą. Im dłużej nie będzie państwa oddawał, tym bardziej ludzka opinia publiczna będzie obracać się przeciwko niemu, a przy tym jego rodacy będą sądzić, że sprawia im tylko kłopoty. Tymczasem Wanbecqowie są już w drodze do domu ze swoją wspaniałą opowieścią. Nadal możemy mieć naszą wojnę, jeśli będziemy tego chcieli. A dni Jubba są policzone.

Durham powiedział powoli:

— A co, jeśli zdecyduje się użyć Gorzkiej Gwiazdy?

Morrison popatrzył na niego, a potem się roześmiał.

— Niech pan nie próbuje straszyć mnie moim własnym straszakiem. To ja znalazłem tę historię sprzed tysiąca lat, wskrzesiłem ją i opowiadałem tak długo, aż chwyciła. Ale to tylko opowieść.

— Jest pan pewien? A co z ciemnymi ptakami? Zdaje się, że krążą tu wszędzie. Czy nie powiedzą Jubbowi, gdzie jesteśmy?

— Trudno byłoby mu cokolwiek udowodnić na podstawie słów cienia. Poza tym istnieją środki obrony przed nimi. Nie będą się wtrącać.

— Czyli, jak sądzę — zauważył Durham, biorąc od niechcenia butelkę do ręki, jakby chciał sobie ponownie nalać — nie zaniepokoiłby się pan specjalnie wiedzą, że jeden z nich jest teraz tutaj.

Morrison nie odrywał oczu od twarzy Durhama.

— Hawtree dokonał w pana osobie naprawdę fatalnego wyboru. Proszę odłożyć tę butelkę.

Durham uśmiechnął się. Uniósł wyżej butelkę i zaczął skandować:

— Jubb, Jubb, Jubb!

Morrison wycedził przez zęby:

— W końcu i tak trzeba by to było zrobić.

Ciągle obserwując Durhama, sięgnął szybką ręką za pas swojej tuniki. Susan wydała stłumiony okrzyk i zaczęła wstawać. Żaden z tych ruchów nie został dokończony. Z ciemnego kąta za krzesłem Morrisona wyłonił się cień. Musnął tylko ich gospodarza, a tamten upadł na stół, zupełnie nieruchomo. Ciemny ptak przeleciał i zawisł w powietrzu przed Durhamem.

— Jubb — oznajmił.

Durham odstawił butelkę i otarł pot z czoła. Spojrzał na ciemnego ptaka, czując zimno i pustkę.

— Chcę się do niego dostać. Rozumiesz? Do Jubba.

Cień podskoczył w górę i w dół, jakby kiwając głową.

Susan spytała:

— Co zamierzasz zrobić?

— Spróbuję ukraść łódź ratunkową.

— Idę z tobą.

— Nie. Morrison nie chce cię zabić, ale lepiej nie naciskać go zbyt mocno. Ty zostajesz. Potem, jeśli mi się nie uda, nadal będziesz… — Urwał. — Strasznie dużo od ciebie żądam, prawda? W końcu Hawtree jest twoim ojcem.

Szepnęła:

— Nie obchodzi mnie to.

— To najpoważniejsza decyzja, jaką podejmiesz w życiu. Nie podejmuj jej zbyt szybko. — Pocałował ją. — Poza tym, jeśli zaczekasz, może wcale nie będziesz musiała tego robić.

Wziął broń Morrisona i wyszedł, a ciemny ptak ruszył razem z nim, zwinięty w ciasny kłębek i atakujący tak szybko, że dwaj trafieni przez niego ludzie nawet tego nie zauważyli. Durham skręcił w stronę kabiny łączności, a ciemny ptak dopilnował, aby nikt nie podniósł alarmu. Uszkodzili radio i radar, tak że naprawienie ich zajmie Morrisonowi trochę czasu. Następnie poszedł korytarzem do wyraźnie oznaczonego włazu, który prowadził do łodzi ratunkowej nr 1. Wsiadł do niej wraz z ciemnym ptakiem. Gdy tylko właz szalupy został zamknięty, automatyczne przekaźniki podmuchem powietrza wyrzuciły ją z leża.

— Jubb — powiedział ciemny ptak. Dotknął Durhama, a ten ku swemu zdziwieniu nie poczuł wstrząsu, tylko chłodne mrowienie, które nie było nieprzyjemne. Potem ptak po prostu przeniknął przez twardy kadłub, tak jak dym przesącza się przez filtr, i zniknął.

Durham nie miał czasu na zdumienie. Stery łodzi ratunkowej zostały zaprojektowane tak by były bardzo proste w obsłudze i zostały wyraźnie oznaczone. Durham oddalił się od statku Morrisona tak szybko, jak tylko mógł. Wiedział jednak, że i tak nie będzie wystarczająco szybki, jeśli ciemny ptak się nie pośpieszy.

Pośpieszył się. A Durham był bliżej Senya Dik, niż przypuszczał. W niecałe trzy godziny później, nawiązał kontakt z planetarnym statkiem patrolowym, który podążał za nim w kierunku zielonego blasku gwiazdy KL421 i ciemnej, chłodnej planety, okrążającej ją po orbicie dalszej niż Ziemi wokół Słońca, ale nie tak dalekiej jak Marsa.

VII

Port kosmiczny znajdował się na rozległej, płaskiej równinie. Daleko po drugiej stronie równiny, Durham dostrzegł ciemny zarys miasta. Stał na skraju lądowiska, między dwoma senyańskimi oficerami ze statku. Miał na sobie kombinezon ciśnieniowy pochodzący z wyposażenia łodzi

ratunkowej, a wiatr wiał mocno, uderzając, szarpiąc i popychając rozłożysty skafander i bąbel hełmu. Durhamowi trudno było ustać, ale Senyanie, wsparci na swych czterech mocnych nogach, stali z łatwością i tylko kołysali się pod naporem wiatru górną częścią ciała, w jedną i w drugą stronę jak drzewa.

Byli wielcy. Tak naprawdę nie uświadamiał sobie ich rozmiarów, dopóki nie stanął koło nich. Doszedł do wniosku, że czekają na jakiś transport lądowy i wcale się temu nie dziwił. Lekkie taksówki powietrzne nie za bardzo pasowały do ich budowy.

Krótko porozmawiał z Karlovicem przez radio i nie mógł się doczekać, żeby dostać się do konsulatu, gdzie Karlovic czekał na niego. Minuta czy dwie, przez które czekali na transport, wydawały się nie mieć końca. Ale w końcu przyjechał wielki, potężny pojazd, ogromna półciężarówka, i jeden z Senyan powiedział:

— Pozwoli pan?

Dwoma dolnymi ramionami podniósł Durhama na platformę. Senyanie porozmawiali z kierowcą, a potem wsiedli sami. Ciężarówka ruszyła, pomimo swoich rozmiarów jechała bardzo szybko. Senyanie trzymali Durhama między sobą, ponieważ człowiek nie miał się czego przytrzymać, ani gdzie usiąść.

Opuścili port kosmiczny. Wzdłuż drogi stały wielkie magazyny, potem mniejsze budynki, a następnie pojawiły się skrawki otwartej przestrzeni, wyglądające dla oczu Durhama niewymownie ponuro. Wysoko nad głową, na niebie pokrytym kotarą pochmurnej mgły, z której spadały kropelki lśniącego deszczu, świeciło na zielono malutkie słońce. Trujący deszcz z trującego nieba. Durham wzdrygnął się i ogarnęła go głęboka depresja. W tym miejscu nie było niczego budzącego nadzieję. Nie dla ludzi.

Ciężarówka pędziła z rykiem dalej. Durham przyglądał się, jak na mrocznym horyzoncie wyrasta miasto, wznosząc się coraz wyżej wielkimi brzydkimi wieżowcami i klockowatymi budowlami, wyglądającymi jak dawne więzienia, tylko znacznie powiększone. To było duże miasto. To było przerażające miasto. Żałował, że w ogóle musi je oglądać. Żałował, że nie jest z powrotem w Ośrodku, stojąc na wysokim chodniku, zalanym dobrym, gorącym słońcem, gdzie nie było żadnych barier między nim a czystym powietrzem. Chciało mu się płakać ze zmęczenia i klaustrofobii. Potem zauważył, że po drodze do miasta zbierały się niewielkie grupy. Krzyczeli na przejeżdżającą ciężarówkę i wymachiwali rękoma, a niektórzy z nich rzucali kamieniami, które grzechotały po bokach pojazdu.

— O co chodzi? — spytał Durham.

— To członkowie partii antyludzkiej. Uprzedzenia działają w obie strony, czego nasi sąsiedzi Nanta Dik zdają się nie rozumieć. Ludzie i nieludzie, to koncepcje intelektualne. Na poziomie emocjonalnym, to po prostu my lub nie-my. Jesteście nie-nami i jako tacy dla niektórych jesteście dosyć trudni do strawienia. Nie rozumiem tylko skąd się dowiedzieli, że pan jedzie.

— Morrison musiał doprowadzić swoje radio do porządku. Używał tutejszych ekstremistów, tak samo jak tych na Nanta Dik, aby narobić kłopotów.

— Są takie chwile… — stwierdził ponuro Senyanin. — Ale wtedy przypominam sobie, że wśród nas także są łajdacy.

Ciężarówka przedostała się przez ruch uliczny na szerokich alejach, między rzędami ciężkich, ogromnych budynków, które ewidentnie nie zostały zaprojektowane z myślą o kimś tak niewielkim i kruchym jak ludzie. Na ulicach było pełno Senyan, zajmujących się jakimiś swoimi sprawami. Durham zastanawiał się, jak wygląda ich życie domowe, w co bawią się ich dzieci, co te istoty jedzą i jak myślą, o co się martwią w ciemnych godzinach nocy. Czuł się zupełnie obco. To nie było miłe uczucie.

Po chwili ciężarówka skręciła w otwarty krąg otoczony potężnymi kamiennymi ścianami. W jednym miejscu z okien sączyło się radosne, jasne światło i Senyanin powiedział:

— To jest konsulat.

Wysadzili go i pokazali mu, gdzie jest śluza powietrzna. Durham odprawił rytuał przejścia przez komory śluzy, gorączkowo próbując wydostać się z ograniczającego jego ruchy skafandra. Zaczął właśnie szarpać się z hełmem, kiedy otworzyły się wewnętrzne drzwi i wszedł człowiek, mówiąc:

— Proszę pozwolić, pomogę.

Kiedy Durham został uwolniony ze skafandra, człowiek spojrzał na niego bardzo zmęczonymi, bardzo gniewnymi oczami.

— Nazywam się Karlovic. Jubb czeka. Chodźmy.

Poprowadził Durhama korytarzem, w którym odbijało się echo i który pomniejszał ich swoimi rozmiarami. Kolory wypolerowanego drewna i kamienia nie pasowały do jaskrawego żółtego światła, a pomieszczenia, do których Durham miał okazję zajrzeć gdy przechodzili, nie pasowały do małych, niedostosowanych do nich mebli, które zostały w nie wstawione jakby na siłę. Gdzieś na dole pulsowały pompy, a powietrze pachniało regenerującymi je chemikaliami.

Durham powiedział:

— Wiedział pan, że mnie tu mieli sprowadzić, prawda?

Karlovic skinął głową.

— Pana, tak. Dziewczynę, nie. Jej zatrzymanie było wynikiem błędu nadgorliwości, ze strony ciemnego ptaka. Tak, wiedziałem o tym. Miałem nadzieję, że w końcu uda nam się zdobyć dowód, świadka przeciwko człowiekowi, który w ambasadzie współpracował z Morrisonem. Hawtree, tak? Cieszę się, że poznałem jego nazwisko.

Pchnął drzwi. Pokój za nimi obejmował tylko połowę pomieszczenia, przeciętego pośrodku ścianą z ciężkiego szkła. Po drugiej stronie szklanej ściany znajdowało się gęste, zielone, miejscowe powietrze i trzech Senyan, z których jeden wystąpił, gdy weszli Durham i Karlovic. Tuż nad jego głową unosił się ciemny ptak. Powiedział do Durhama:

— Nazywam się Jubb.

W szkle wtopione były dyski komunikatora. Jubb wskazał Durhamowi krzesło obok jednego z nich.

— Najpierw proszę mi pozwolić, na złożenie należnych panu przeprosin. Przewoził pan wiadomość, która nie była prawdziwa, ale w jej

skutku mieszkańcy Nanta Dik uwierzyliby, że za chwilę wyruszymy przeciwko nim z Gorzką Gwiazdą. Ciemne ptaki ostrzegły mnie i uważałem, że nie mam wyboru. Nie mogłem pozwolić, aby ta wiadomość została dostarczona.

Durham przyznał:

— Nikt nie może pana za to winić.

— Rozumie pan, że miałem także inne powody.

— Tak. Myślę, że za nie również nie można pana winić.

Jubb popatrzył na niego swoimi dużymi, nieprzeniknionymi oczyma, całkowicie obcymi i niewątpliwie bardzo inteligentnymi.

— Nie wiedziałem, jakim pan się okaże człowiekiem, panie Durham. Czy będzie pan sympatyzował ze swoimi pracodawcami, czy też nie. Teraz oczywiste jest, że to pierwsze jest niemożliwe.

Durham odparł spokojnie:

— Już miałem mnie wiele kłopotów, kiedy próbowałem nałożyć im sznur na szyje. Jestem gotów, zrobić o wiele więcej. Użyli mnie jak… — nie potrafił wymyślić właściwego słowa.

Jubb skinął głową.

— Pogarda jest trudna do zaakceptowania. Wiem. A więc, pomoże pan?

— W każdy możliwy sposób.

— Chciałbym, żeby wrócił pan ze mną do Ośrodka, panie Durham. Wcześniej byłem bezradny, z braku dowodów. Jako szef rządu planetarnego, mogę nalegać na spotkanie z samym ambasadorem, a teraz będę mógł ominąć Hawtree skoro wiem, kim on jest. Chcę, żeby pan był moim świadkiem.

— Nic — oznajmił Durham — nie mogłoby sprawić mi większej przyjemności.

— Dobrze — stwierdzi Jubb. — Dobrze. Panie Karlovic, wygląda na to, że koniec naszej długiej walki może wreszcie znajdować się w zasięgu wzroku. Niech pan dba o pana Durhama. Jest cenniejszy niż złoto.

Po chwili, mówił dalej.

— W międzyczasie Morrison sprawił nam problemy transportowe. Zbudowaliśmy tamten konkretny statek dla wygody pana konsula, kiedy miał jakieś powody, aby podróżować po naszym terytorium, i po powrocie planowaliśmy przebudować go tak, by pomieścił dwie osoby. Teraz muszę poprosić o statek naszych przyjaciół na Nanta Dik, a to może zająć trochę czasu. Niech więc pan dobrze odpocznie, panie Durham.

Wyszedł, a Karlovic wyprowadził Durhama z powrotem do holu, a stamtąd do wysokiej, ponurej komnaty, w której w jednym rogu znajdowała się błyszcząca mała kuchnia. Stał tam stół i krzesła. Durham usiadł i patrzył, jak Karlovic zajmuje się pakietami z jedzeniem.

— Nie wygląda pan na bardzo szczęśliwego z tego wszystkiego — zauważył.

— Nie jestem nieszczęśliwy. Martwię się.

— Czym? Morrison nic już nie może zrobić.

— Nie? Proszę posłuchać, Durham, cesarze Rzymu rządzili tylko niewielką częścią jednej małej planety, ale nie oddawali swej władzy łatwo. Morrison też tego nie zrobi. Niech pan pamięta, że teraz jego sprawy stoją tak źle, że nie może być już gorzej, tylko lepiej.

Durham wyjrzał przez okno. Był ono podwójne, z próżnią między szybami i siatką ochronną na zewnątrz. Napierało na nie gęste zielone powietrze. Słońce znajdowało się znacznie dalej na niebie, a cienie budynków zrobiły się długie i czarne.

— Spędza pan tutaj dużo czasu? — spytał.

— Ostatnio, tak — odparł Karlovic. — Musiałem. Moje życie nie byłoby bezpieczne na Nanta Dik. Nie ma pan pojęcia, jak rozgrzane są tam nastroje, dzięki Morrisonowi.

Zaczął nakrywać do stołu. Durham nie ruszył się, by pomóc. Był bardzo zmęczony. Patrzył, jak cienie wydłużają się i wypełniają ciemnością krąg otoczonego wysokimi ścianami placu.

— Czy tamtejszy rząd nie mógłby pana ochronić?

— Tylko część rządu, by tego chciała. A Morrison ciężko pracuje, aby wystraszyć ich tą całą propagandą na temat Gorzkiej Gwiazdy.

— Propaganda. Tak właśnie powiedział. Czy to prawda?

— Absolutnie – jeśli chodzi o użycie jej przez Senyan. Ale sama rzecz jest absolutnie prawdziwa. Jest w tym mieście. Widziałem ją.

Karlovic postawił podgrzane pojemniki na stole i usiadł. Zaczął metodycznie jeść.

— To trochę dziwna historia. Prawdopodobnie mogła ona się wydarzyć tylko na planecie takiej jak ta, z kompletnie nieludzkim systemem biochemicznym. Senyańska nauka z jakiegoś powodu wystartowała wcześniej i rozwijała się szybko, o wiele szybciej niż na Nanta Dik. Dużo eksperymentowali z energią słoneczną, atomami i siłami, które leżą tuż na granicy życia – a może inteligencji byłaby tu lepszym określeniem.

— Czy nie są to mniej lub bardziej synonimy?

— Kawałek platynowej gąbki lub mieszanina koloidów może być inteligentna, ale nigdy nie żywa. Gwiazda jest. Ciemne ptaki są. Nie są one zbudowane z materii, są jedynie zbiorem oddziałujących cząstek. Ale żyją i myślą.

— Co pan wie o Gwieździe?

— Naukowcy próbowali stworzyć matrycę energetyczną, która pochłaniałaby energię słoneczną i przechowywała ją jak bateria. Coś im nie wyszło, a rezultatem tego była Gorzka Gwiazda. Pochłania ona energię słoneczną, to prawda, ale w postaci ciepła, i tak samo pobierze ciepło z czegokolwiek. I nie oddaje go. Po prostu wchłania go coraz więcej i więcej, aż każda żywa istota w jej pobliżu zamarza i nie ma już więcej ciepła do pochłonięcia. Senyańscy naukowcy nie za bardzo wiedzieli, co zrobić z tym czymś, co stworzyli, ale też nie chcieli tego niszczyć. Miała ona zbyt wiele elementów, które chcieli zbadać. A więc stworzyli ciemne ptaki, według tego samego wzoru, lecz bez takiego głodu ciepła, i z większą inteligencją, aby były pomostem między nimi a Gwiazdą, tak by mogli ją kontrolować. Badali ją, dopóki nie okazała się zbyt niebezpieczna, a wtedy uwięzili ją,

po prostu zagładzając ją w temperaturze absolutnego zera. I tak pozostawała od tamtej pory, ale ciemne ptaki przez cały czas jej strzegły, na wypadek gdyby stało się coś takiego, co wymagałoby jej ponownego uwolnienia. Oni zdają się niemalże ją kochać, w jakiś dziwny, nieludzki sposób.

Durham zmarszczył brwi.

— A więc, mogłaby zostać użyta przeciwko Nanta Dik.

— O, tak — odparł ponuro Karlovic. — Prawdę mówiąc, kiedyś już została. Gwiazda zaświeciła na ich niebie w środku lata, plony poczerniały, rzeki zamarzły, a ludzie umierali tam gdzie stali, na polach. Senyanie wygrali wojnę. To było tysiąc lat temu, ale Nantanie nigdy o tym nie zapomnieli.

Wstał i ponuro podszedł do zlewu, biorąc naczynia.

— Wciąż powtarzam Jubbowi, że powinien jej się pozbyć. To drażliwa sprawa. Ale…

Gdzieś na dole rozległ się jakiś bardzo głośny hałas. Podłoga uniosła się i opadła ponownie. Niemal natychmiast powietrze wypełniło się pyłem, a dzwonek alarmowy zaczął głośno dźwięczeć. Usta Karlovica dwukrotnie otworzyły się i zamknęły, jakby próbował coś powiedzieć. Pozwolił by naczynia upadły z łoskotem wokół jego stóp, a potem pędząc z całych sił wypadł z pokoju i pobiegł korytarzem.

Durham ruszył za nim. Z dołu nie dochodziły już żadne odgłosy. Pompy przestały działać.

Karlovic w końcu odzyskał język w ustach.

— Niech pan zasłoni twarz. Proszę nie oddychać.

Durham zobaczył cienkie, leniwie wirujące pasemko zielonkawej mgły, wpadające do korytarza. Przycisnął do ust i nosa chusteczkę i wprawił w ruch nogi, mocno i szybko. Był tuż za Karlovicem, kiedy wpadli do śluzy. Nadal była czysta.

Pomogli sobie nawzajem założyć skafandry, ciężko dysząc w stojącym powietrzu. Następnie, przez audio hełmu, Durham usłyszał odgłosy z zewnątrz, stłumione krzyki i tupot nóg. Karlovic wrócił do konsulatu, gdzie zielona mgła sięgała mu już do kolan, i wyjrzał przez okno na okrągły plac. Ponad jego ramieniem Durham zobaczył kręcących się tam Senyan i myślał, że to buntownicy, ale Karlovic wyjaśnił:

— W porządku, to strażnicy Jubba.

Wrócili do śluzy, a stamtąd wyszli na okrągły plac na zewnątrz. Senyanie odeskortowali ich pośpiesznie do sąsiedniego budynku. Durham widział, że wszędzie ustawiane są posterunki. W ścianie konsulatu była ogromna dziura, chodnik pod nią był zupełnie zniszczony, a wszędzie wokół leżały fragmenty maszyn i wyposażenia. Durham szybko przeliczył w głowie, ile tlenu ma w butlach swojego skafandra, ile czasu zajmie naprawa konsulatu i przywrócenie do pracy urządzeń doprowadzających powietrze, oraz ile czasu minie zanim dotrze tu z Nanta Dik jakiś statek. Popatrzył na Karlovica, którego twarz w hełmie była biała jak kreda.

— Szalupa ratunkowa — powiedział.

Karlovic skinął głową. Na jego twarz powróciły lekkie kolory.

— Tak, szalupa ratunkowa. Możemy w niej mieszkać do przybycia statku. — Przesunął językiem po wargach, jakby były bardzo suche. — Czy nie mówiłem panu, że Morrison nie podda się łatwo? O Boże, łódź ratunkowa!

Zaczął pośpiesznie bełkotać coś do Senyan w ich własnym języku i na jego twarzy znowu pojawił się wyraz udręki. Durhamowi nie trzeba było mówić, co mu przyszło do głowy. Jeśli coś się stało z tą łodzią ratunkową, to na planecie do której istoty ludzkie nie mają biologicznego prawa, znajdowali się dwaj martwi ludzie.

Wprowadzono ich do pokoju, w którym Jubb, z grupą zmęczonych pomocników, siedział przy zestawie komunikatorów. Pokój był ogromny, ale pasował do Senyan, a ponure kolory nie wydawały się przygnębiające, w ich własnym świetle. Gdy weszli przez drzwi, Jubb powiedział:

— Przy waszej łodzi ratunkowej ustawiłem liczne straże. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł powtórzyć taki atak typu „uderz i uciekaj”... — Zaklął w niezwykle ludzki sposób, określając bardzo brzydkim słowem Morrisona i senyańskich głupców, którzy dali mu się wykorzystać. — Wszystko z wami w porządku, Karlovic – panie Durham? Jesteście bezpieczni? Rozkazałem przygotować konwój motorowy. W całym mieście pojawiają się oznaki niepokojów – najwyraźniej rozeszła się wieść, że pan, Durham, przywiózł ze sobą umowę zjednoczeniową, dla mnie do podpisu, i że warunki w niej zawarte oznaczają całkowite poddanie się z naszej strony ludzkim rządom. Czy panów nie cieszy to, że nie tylko rasa ludzka może produkować głupców i szaleńców? Kiedy już znajdziecie się w porcie kosmicznym, będziecie bezpieczni, jednostki mojej marynarki dopilnują tego, a na ulicach są już żołnierze. Mają rozkaz, aby na was uważać. Jedźcie szczęśliwie.

Wyprowadzono ich inną drogą, do miejsca w którym czekały trzy ciężkie ciężarówki i kilka mniejszych pojazdów. Znajdujący się w nich Senyanie nosili charakterystyczną uprząż i byli uzbrojeni, a wszystkie pojazdy miały opancerzone boki. Durham i Karlovic zostali wsadzeni do jednej z ciężarówek, która była niemal wypełniona senyańskimi żołnierzami. Konwój ruszył.

Durham zaparł się w kącie i popatrzył na Karlovica.

— Wszystko to stało się tak szybko, prawda? Okropnie szybko.

— Gwałtowne czyny zawsze takie są. Nie jest pan przyzwyczajony do przemocy, co? Ja też nie. Większość ludzi podobnie.

— Obawiam się, że to jeszcze nie koniec przemocy — powiedział Durham.

Karlovic odparł:

— Uprzedzałem pana.

Przez jakiś czas czuli tylko pęd i szarpnięcia ciężarówki, słyszeli ryk silników oraz coś w rodzaju stłumionego niepokoju w tle, jakby całe miasto drżało i kipiało. Durham był przerażony. Jedzenie, które zjadł, ciążyło mu kamieniem w żołądku, dusił się we własnym pocie i myślał o Morrisonie wygodnie podróżującym gdzieś w kosmosie, palącym

papierosy, popijającym dobrą whisky, i wysyłającym im od czasu do czasu wiadomość, tak jak człowiek szturcha kijem parę chrząszczy, siłą zapędzając je w kierunku śmiertelnej pułapki. Zacisnął zęby w udręce nienawiści i strachu, smakujących kwaśno w ustach.

Ktoś do nich powiedział:

— Jesteśmy już na autostradzie do portu kosmicznego. To nie potrwa długo.

Minutę później rozległy się krzyki, a Karlovic wychwycił senyańskie słowo i powtórzył je:

— Barykada!

Ciężarówka zakołysała się i ostro zawróciła, a z nocnych ciemności, które w międzyczasie zapadły, dobiegły odgłosy rozbijających się pojazdów. Durham upadł na kolana. Ciężarówka pomknęła z pełną prędkością. Słychać było odgłosy walki, które to narastały, to cichły, ciężarówka szarpnęła się i zarzuciło ją bokiem, następnie rozległy się kolejne ryki i uderzenia, po czym gwałtownie się zatrzymała.

Senyanie zaczęli strzelać przez strzelnice w pancernych bokach. Część z nich wyskoczyła z ciężarówki, dając znak Durhamowi i Karlovicowi, by za nimi poszli. Duża grupa uczestników zamieszek zaatakowała pozostałe z konwoju resztki, które zostały zmuszone do powrotu do miasta. Czterech senyańskich żołnierzy pobiegło z dwoma ludźmi w boczną uliczkę, ale dogoniła ich niewielka grupa buntowników. Żołnierze odwrócili się by walczyć, zaś Karlovic powiedział dziwnie spokojnym głosem:

— Jeśli będziemy wystarczająco szybcy, mogą stracić nas z oczu w ciemnościach.

Skręcił w przestrzeń pomiędzy dwoma budynkami, a potem w innym kierunku, Durham biegł obok niego przez zimną zieloną mgłę i przyćmiony blask lamp, które migotały na obcych ścianach. Odgłosy walki ucichły. Skręcali w kolejne uliczki, zawsze wypatrując najciemniejszych miejsc, mając nadzieję, że spotkają patrol. Ale ulice były puste, a wszystkie drzwi szczelnie zamknięte. Wreszcie Durham zatrzymał się.

— Ile zostało panu tlenu?

Karlovic zerknął na podświetlany wskaźnik na nadgarstku skafandra.

— Godzina. Może mniej.

Obaj mężczyźni ciężko oddychali, dysząc, wykorzystując cenny dla życia gaz. Durham powiedział:

— Ja nie wytrzymam nawet tak długo. Niech pan posłucha, Karlovic. Gdzie jest Gorzka Gwiazda?

Twarz Karlovica wewnątrz hełmu zmieniła się w białą plamę.

— Oszalał pan? Nie może pan…

Durham położył obie dłonie na ramionach skafandra Karlovica i przysunął się tak blisko, że aż stuknął swoim hełmem o hełm Karlovica.

— Może zwariowałem. Za trzydzieści, czterdzieści minut będę martwy, więc jakie to będzie miało znaczenie? Niech pan słucha, Karlovic, chcę żyć. — Wskazał drogę, którą przyszli. — Myśli pan, że damy radę przedostać się przez to do kosmodromu, na czas?

— Nie.

— Mamy jakieś inne miejsce, do którego moglibyśmy się udać?

— Nie.

— No to, dobrze. Urządźmy im piekło.

— Ale nie wszyscy są naszymi wrogami. Jubb, moi przyjaciele…

— Przyjaciel czy wróg, zejdą nam z drogi. Może nam się udać, Karlovic. Powiedział pan, że ciemne ptaki ją kontrolują i potrafi pan z nimi rozmawiać. — Gwałtownie potrząsnął Karlovicem. — Gdzie ona jest? Nie rozumie pan? Jeśli jej użyjemy, możemy przegnać Morrisona z kosmosu!

Karlovic odwrócił się i zaczął szybko iść, szlochając.

— Ciemne ptaki nigdy nam na to nie pozwolą. Pan nie wie, co robi.

— Wiem jedno. Mam dosyć tego, że jestem popychany, popychany i popychany, w różne kąty, w dziury, gdzie nie mogę oddychać. Zamierzam… — Zacisnął mocno zęby i szedł szybko obok Karlovica, podrywając się na każdy dźwięk i cień.

Pokonując aleje i ulice, na których nie było widać zupełnie nikogo, z obawy przed przemocą, jaka rozpętała się tamtej nocy, Karlovic doprowadził Durhama do otwartej przestrzeni, podobnej do parku, otoczonej murem z ogromną zamkniętą bramą, która mogłaby powstrzymać Senyanina, ale nie małego zwinnego człowieka, potrafiącego ze strachu przed śmiercią wspinać się jak małpa.

Za bramą, w uporządkowanych rzędach rosły wielkie pomarszczone porosty, wysokie jak drzewa. Dalej do środka parku prowadził chodnik. Porosty pochylały się i szeleściły na wietrze, a skafander Durhama był mokry od trującej rosy.

Chodnik zakończył się portykiem, który stanowił fragment okrągłego budynku, przysadzistego, jakby część jego konstrukcji znajdowała się pod ziemią. Przeszli przez wąskie drzwi do miejsca, w którym panowała zupełna cisza, gdzie drogę zagrodził im wiszący w powietrzu ciemny ptak.

— Jubb — powiedział Durham. — Proszę mu powiedzieć, że przysłał nas Jubb. Niech pan mu powie, że Gorzka Gwiazda musi zostać ponownie uwolniona, aby zniszczyć wrogów Jubba.

Karlovic przemówił do cienia, do którego dołączyły inne. Nastąpiła fala pohukiwania i skrzeczenia, a potem ten, do którego mówił Karlovic, zniknął w niesamowity sposób, charakterystyczny dla swego gatunku. Pozostałe zostały, tworząc barierę między dwoma ludźmi i prowadzącą stromo w dół rampą.

Karlovic usiadł znużony na zimnym kamieniu.

— To nic nie da — powiedział. — Wiedziałem, że tak będzie. Ciemny ptak poleciał spytać Jubba, czy to co mówimy, jest prawdą.

Durham też usiadł. Nie zadał sobie nawet trudu, aby spojrzeć na wskaźnik na nadgarstku. Nie było sensu. Koniec. Basta. Zamknął oczy.

W powietrzu podniosło się pełne pohukiwania poruszenie. Karlovic sapnął. Potem zaczął potrząsać Durhamem, śmiejąc się jak dziecko, oglądające w cyrku klauna.

— Słyszał pan? Ptak właśnie powrócił, i Jubb powiedział mu… Jubb powiedział, że skoro Morrison wieszczy wojnę Gorzkiej Gwiazdy, niech więc ją ma.

Chwycił Durhama za ramiona skafandra i postawił go na nogi, po czym razem z chmurą cieni pobiegli w dół, w mrok.

VIII

Znajdowała się tam mała, zapieczętowana komora z grubym oknem, za którym widać było okrągłą przestrzeń, niezbyt dużą, otoczoną potrójnymi szklanymi ścianami z próżnią pomiędzy nimi. Powietrze pełne było ciemnych ptaków, przelatujących bez przeszkód przez ściany lub unoszących się w wybranym przez siebie miejscu, nad tym, co spało w środku.

Durham zamrugał i odwrócił głowę, a potem znów zaczął się przyglądać. Karlovic powiedział cicho:

— Piękna, prawda? Ale też jakoś smutna, nie wiem dlaczego.

Durham czuł to, podprogowe uczucie bez żadnej przyczyny, jak smutek letniej nocy, narodzin i śmiechu lub białych i szybkich skrzydeł mewy na niebie. Gwiazda świeciła blado, delikatnie. Próbował popatrzeć, czy była okrągła, czy miała jakikolwiek inny kształt, czy była stała czy mglista, ale nie widział niczego poza tym delikatnym poblaskiem, jak mgły wokół zimowego księżyca.

Durham otrząsnął się i zastanawiał się, dlaczego, skoro był tak pewien swej śmierci, był taki wystraszony.

— No dobrze — powiedział. — Jak ją się uwalnia?

— Ciemne ptaki to zrobią. Niech pan patrzy.

Przemówił do nich, jednym słowem, a we więzieniu o szklanych ścianach, wokół delikatnego blasku Gwiazdy zaczęły poruszać się i wirować cienie. Durham zobaczył dysk umieszczony w metalu u góry. Jeden z ciemnych ptaków go dotknął. Nastąpił intensywny niebieski rozbłysk światła i Durham poczuł pulsowanie ukrytych generatorów, potajemny napływ energii. Szklane ściany poczerniały i zrobiły się ciemne, niski dach przekręcił się i otworzył w niebo. A przez okno w barierze Durham obserwował budzenie się gwiazdy.

Zobaczył, jak mroźny blask rozjaśnia się i wylewa się spod powoli rozwijających się zasłon. Była taka chwila, że cały budynek wydawał się być wypełniony księżycowym ogniem, zimnym jak oddech kosmosu i tak pięknym jak twarz ze snu, który następnie zniknął, a ciemne ptaki zniknęły razem z nim.

— Chodźmy — powiedział Karlovic szorstkim głosem, jakby zupełnie nieodpowiednim w oszałamiającej ciemności, która zamknęła się wokół nich, i Durham wspiął się za nim po rampie i wyszli na podobną do parku przestrzeń. Wszystkie strzeliste porosty stały martwe i skute lodem.

Wysoko w górze, płonąc zimnym ogniem nad miastem, świeciła nowa gwiazda.

Podążyli za nią przez ciszę głęboką jak koniec świata. Podczas wschodu tej gwiazdy wszyscy skryli się pod osłoną, i obecnie na pokrytych lodem ulicach, usianych tu i ówdzie wrakami pojazdów oraz martwymi ofiarami zamieszek, widać było tylko dwóch ludzi, ubranych w skafandry z

jednostkami termicznymi działającymi na pełną moc. Ciemne ptaki zmuszały Gwiazdę do utrzymywania dużej wysokości, ale mimo to, w tej nagłej strasznej zimie, żadne stworzenie nie mogłoby długo przeżyć bez ochrony.

Droga do portu kosmicznego była wolna i opustoszała. Znaleźli jakiś niewielki pojazd, obok którego leżał martwy kierowca. Karlovic uruchomił go, przesuwając potężne dźwignie z pomocą Durhama. Potem popędzili z dużą szybkością przez pustą noc. Durham zamknął oczy, myśląc.

Otworzył je, gdy Karlovic wydyszał do niego prośbę o pomoc, a dokoła otaczał go czarny i pusty port kosmiczny Senya Dik. Razem ściągnęli do dołu dźwignię, która zatrzymała ich pojazd. Zeszli na ziemię i pobiegli w stronę małej łodzi ratunkowej, ślizgając się i potykając, niemalże dusząc się w swoich skafandrach. Wpadli do śluzy, i Durham zatrzasnął właz oraz zakręcił kołem. Czekali kilka bolesnych sekund, podczas gdy maleńka komora opróżniała się, a potem napełniała ziemskim powietrzem. Wreszcie mogli zdjąć hełmy i ponownie oddychać. Popatrzyli na siebie, roześmiali się, padli sobie w ramiona i znowu się roześmiali, po czym weszli do kabiny.

Komunikator mrugał światełkami i ostro brzęczał.

Durham włączył go. Na małym ekranie pojawiła się twarz Jubba.

— Jesteście bezpieczni? Dobrze, dobrze. Przez chwilę już myślałem…! Słuchajcie panowie. Mam wiadomość od moich patroli, że Morrison ma teraz ze sobą inne statki, rozstawione by was złapać, gdyby udało się wam przedostać. To dlatego właśnie zdecydowałem się na użycie Gorzkiej Gwiazdy. Jestem zły, Karlovic. Jestem zmęczony tymi szyderstwami, kłamstwami i skrytą przemocą. Jestem zmęczony pokojem, który jest tylko przykrywką dla agresji innego człowieka.

Ciemny ptak wleciał do kabiny i zawisł nad ramieniem Durhama.

— Będzie przenosił wasze wiadomości — powiedział Jubb. — Ja wyjeżdżam właśnie do portu, na mój własny okręt flagowy. Polecimy razem. Powodzenia.

Ekran zgasł. Durham powiedział:

— Niech pan zapnie pasy, startujemy.

Gwiazda ze swoją gromadą cieni wzięła kurs, który wyprowadził ich stromo w górę, z cienia Senya Dik, w pełny strumień światła zielonego słońca. Ciemny ptak powiedział coś znad ramienia Durhama, a Karlovic wyjaśnił:

— Gwiazda musi pożywić się – lub naładować, jak by pan to określił – ciepłem słonecznym. Niech pan patrzy, Durham. Niech pan patrzy, jak rośnie.

I patrzył. Gwiazda rozpostarła swoją mglistą substancję, rozciągając ją szeroko w stronę słońca, a jej delikatna poświata rozjaśniła się do poziomu gniewnego blasku, który narastał i rozszerzał się, zmieniając się w płonącą chmurę – nie zieloną jak słońce, lecz białą jak perła.

W oddali, po jednej stronie, Durham dostrzegł odblask kadłuba statku. Wskazał na niego ręką.

Karlovic zaczął manipulować komunikatorem. Po minucie ekran rozjaśnił się i pojawiła się na nim twarz Morrisona.

— Witaj, Morrison — powiedział Durham. — Witaj, złodzieju.

Twarz Morrisona była twarda i biała, jakby wyrzeźbiona z kości.

— To nie była tylko gadanina starej baby, Morrison — mówił dalej Durham. — To była prawda, i oto ona. Gorzka Gwiazda, Morrison.

Karlovic wyciągnął rękę i potrząsnął nią, wskazując na okno. W ich stronę szybko zbliżał się mały statek, o dziwnych kształtach.

— Wymiatacz gruzu kosmicznego — wyjaśnił Karlovic. — Te zabawne wybrzuszenia to wyrzutnie torpedowe. Torpedy przenoszą ciężkie ładunki rozpraszające, które usuwają gruz kosmiczny, aby statki pozyskujące rudę mogły się do niej dostać.

Durham powiedział do obrazu na ekranie:

— Odwołaj go.

Morrison pokazał końcówki zębów i zapytał:

— A dlaczego miałbym to zrobić?

Durham skinął głową w stronę Karlovica, który powiedział coś do ciemnego ptaka. Ten zniknął. Po kilku sekundach Gwiazda zaczęła się przemieszczać. Poruszała się szybko, gwałtowny blask jej ciała utworzył smugę podobną do białej komety na tle rozświetlonej na zielono przestrzeni. Owinęła się wokół wymiatacza, a po chwili uniosła się i statek kontynuował swój lot, pozornie nietknięty.

Morrison zaśmiał się.

Wymiatacz pędził w stronę szalupy. Jego wyrzutnie były otwarte, ale nic z nich nie wylatywało. Durham zmienił kurs, by go ominąć, i pomknął dalej. Na ekranie obraz Morrisona odwrócił się i powiedział coś do kogoś, a ten ktoś odparł:

— Nie mogę, ich po prostu jakby tam nie było.

Morrison ponownie zwrócił się do Durhama, a raczej do jego obrazu wyświetlanego na jego własnym ekranie.

— Wiem, co niby powinienem teraz powiedzieć, ale nie zamierzam tego mówić. Mam ze sobą pannę Hawtree, zapomniał pan o tym? Nie sądzę, żeby nagle nabrał pan tego rodzaju odwagi.

Durham pokręcił głową.

— Nie potrzebuję jej. Chcę, żeby pan przeżył, Morrison. Ale kompletnie mam gdzieś, co się stanie z wszystkimi innymi na tym całym zadupiu, które nazywa pan 9G. Nie obchodzi mnie nikt i nic. I mam Gorzką Gwiazdę która mnie wspiera. Zastanawiam się, ilu lojalnych pracowników Universal Minerals i ilu głupich Wanbecqów poświęci swoje życie tylko po to, abym nie dostał pana w swoje ręce. Niech pan się z nimi połączy, Morrison i policzy ich, a my wyślemy Gwiazdę, żeby na nich zerknęła.

Gwiazda świeciła i migotała, stopniowo nabierając ogromnego blasku, a na twarzy Karlovica pojawił się wyraz zmartwienia. Morrison nie odpowiedział, ale Durham widział niemalże, jak w jego głowie krążą myśli, ważone są i oceniane możliwości. Wtedy ktoś, kto stał za Morrisonem, poza zasięgiem skanera, powiedział dziwnie płaskim głosem:

— Połączenie z holownika *Varney*, sir. Weszli na pokład wymiatacza.

— I co?

— Wszyscy są martwi, sir. Zamarznięci. Nawet powietrze było zamarznięte. Powiedzieli, że wracają do domu.

— W porządku — oznajmił cicho Morrison. — Durham, ja też wracam do domu, na Nanta Dik. Zobaczmy, czy będzie mógł pan tam za mną polecieć.

Przerwał połączenie. W oddali Durham zobaczył, jak jasny punkcik statku Morrisona, zawraca i szybko się oddala. Durham powiedział ponuro do Karlovica:

— Niech pan powie ciemnym ptakom, żeby podążały za Gwiazdą. A potem proszę złapać kogoś na Nanta Dik, kogoś przy władzy. Proszę opowiedzieć im wszystko, co się tu wydarzyło. Niech pan im powie, że chcemy tylko Morrisona. Zobaczymy, jak blisko pozwolą mu podlecieć.

— No, nie wiem — powiedział Karlovic i zajął się komunikatorem. Pół godziny później westchnął i wyłączył ekran. — Wysyłają eskadrę, aby przechwycić Morrisona. Ale boją się. Boją się Gwiazdy. Obiecałem im – i lepiej, żeby nic im się nie stało, Durham.

Durham zauważył:

— Lepiej wyślijmy wiadomość do Jubba.

Przez okres, który wydawał się wiecznością, pędzili w zielonym blasku słońca, za statkiem, którego Durham nie mógł już dostrzec. A przed szalupą ratunkową, lekko i zwinnie w przestrzeni, leciała Gorzka Gwiazda z towarzyszącymi jej cieniami. Durham też zaczął się martwić, nie był pewien dlaczego. Zbliżył się do nich okręt flagowy Jubba, ogromny, ciemny, jak wieloryb obok płotki. Po pewnym czasie, w ich stronę zaczęła zbliżać się maleńka, jasna, wirująca kula planety. Karlovic wskazał na nią ręką.

Pomiędzy nimi a planetą, jak jakaś ogromna sieć, wisiała grupa błyszczących metalicznych punkcików.

— Eskadra.

Odezwał się komunikator. Karlovic włączył go i na ekranie pojawiła się twarz nantańskiego oficera.

— Mamy Morrisona — powiedział. — Niech Gwiazda nie podchodzi bliżej.

Karlovic przemówił do ciemnego ptaka. Ręce Durhama, ciężkie ze zmęczenia, zmniejszyły szybkość łodzi ratunkowej, aż zawisła prawie nieruchomo. Wielki ciemny krążownik Jubba również zwolnił. W górze i pomiędzy nimi, przelewał się blask Gorzkiej Gwiazdy. Przestała się poruszać.

Durham powiedział:

— Gwiazda nie podejdzie już bliżej.

— Panie Karlovic — powiedział Nantanin. — Proszę podprowadzić łódź ratunkową, powoli i samą.

Łódź ratunkowa podleciała do statków eskadry.

— Teraz — polecił oficer Nantan, — proszę wycofać Gwiazdę.

Karlovic powiedział:

— Jubb zrobi to, kiedy...

— Nie! — przerwał mu nagle Durham. — Jubb tego nie zrobi. Popatrzcie tam!

Gorejąc gwałtownym światłem, Gwiazda oderwała się od skupiających się wokół niej cieni.

Serce Durhama zakrzepło w przedsmaku lodowatej śmierci. Twarz nantańskiego oficera zbladła, a Karlovic powiedział głosem, który był zupełnie niepodobny do jego głosu:

— Muszę porozmawiać z Jubbem.

Wyciągnął rękę, aby przestawić ich pojedynczy ekran, a nantański oficer powiedział:

— Proszę poczekać, on właśnie odezwał się na naszym alternatywnym kanale. Mogę ustawić skaner…

Obraz skoczył, rozmył się i znowu się wyostrzył. Na ekranie widać teraz było, oprócz oficera, alternatywny kanał Nantan, na którym właśnie mówił Jubb. Durhamowi wydało się, że obca twarz Senyanina była wyraźnie, po ludzku, zaniepokojona.

Jubb powiedział:

— Nie mogę wycofać Gwiazdy. Nie, to nie jest kłamstwo, ani żadna sztuczka – wstrzymajcie ogień, idioci! Jestem jedyną nadzieją, jaka wam jeszcze pozostała. Gwiazda wyciągnęła nauczkę ze swej uległości sprzed tysiąca lat, kiedy pozwoliła się z powrotem sprowadzić do miejsca uwięzienia. Teraz urosła, za bardzo. Nie można jej zabrać na żadną planetę.

Durham popatrzył na piękną, śmiercionośną istotę, która tak wspaniale płonęła w próżni kosmosu.

— Czy można ją zniszczyć?

— Ciemne ptaki mogą ją zniszczyć — odparł Jubb. — Jeśli będą chciały.

Nantański oficer, którego usta przybrały kolor popiołu, powiedział do obrazu Jubba na ekranie:

— Ma pan minutę, żeby ją stąd zabrać, potem zacznę strzelać.

Jubb odwrócił głowę i powiedział coś do kogoś, kogo nie było widać. Durham zwrócił się do Karlovica.

— Powiedział: „Jeśli będą chciały”. Czy to znaczy…

— Mówiłem panu — powiedział Karlovic, wyglądając przez port — że ciemne ptaki zostały stworzone, aby strzec Gwiazdy. I, że w pewnym sensie ją kochają. Kto może powiedzieć jak bardzo?

Obserwowali co się dzieje.

Daleko w kosmosie, niewielka chmura ciemnych ptaków przesuwała się w stronę Gwiazdy. Potem, z wahaniem, ptaki się zatrzymały.

— Nie zrobią tego — powiedział szeptem Karlovic. — Nawet dla Jubba.

Jubb ponownie odezwał się do niewidocznego posłańca, tak spokojnie, jakby to było jakieś zupełnie normalne polecenie. I po chwili fala niespokojnego ruchu przemknęła przez chmurę wirujących ciemnych ptaków.

Nagle ruszyły naprzód, znowu zaganiając Gwiazdę. Z początku powoli, potem coraz szybciej, aż zmieniła się w smugę jaskrawego światła, ciemne ptaki prowadziły Gwiazdę prosto w stronę słońca. Raczej kierowały nią, niż poganiały, nęciły obietnicą wspaniałości, słodkim zdradzieckim wołaniem z ust odwiecznego Judasza. Ciemne ptaki prowadziły ją, a ona podążała za nimi.

W jednej chwili, ginąc w większym blasku słońca, Gwiazda zniknęła im z oczu.

Karlovica wypuścił powietrze z płuc, w długim westchnieniu.

— To był jedyny sposób, w jaki można było ją zniszczyć. Nawet jej pragnienie energii cieplnej nie mogło połknąć słońca.

— Ciemne ptaki wracają — powiedział Durham. Potem, w zastanowieniu: — Ale one nie…

Ciemne ptaki wracały znad zielonego słońca, ale nie leciały w stronę statku Jubba. Ani w kierunku żadnej z planet. Szybowały jak rozmyte cienie w stronę otwartego kosmosu, i jeśli nawet słyszały wzywający je głos Jubba, zupełnie nie zwracały na niego uwagi.

— Odeszły — stwierdził Karlovic z niedowierzaniem.

— Tak — powiedział Jubb bardzo powoli. — Wykonały ten rozkaz, ale to był już ostatni. — Popatrzył na stojących przed nim ludzi, ludzi z Ziemi i ludzi z Nanta Dik i dodał: — Czy teraz widzicie, że nie ma między nami żadnych różnic, że my, na Senya Dik, możemy uczyć zdrady tak samo jak i ludzie?

Durham popatrzył w lśniącą przestrzeń, ale do tej pory nie było już śladu po flocie latających cieni. Inteligencje, umysły, pozostające poza możliwością zrozumienia materialnych stworzeń, takich jak on sam i Jubb. Zastanawiał się, jak daleko dotrą, jak długo będą żyć, jakie rzeczy zobaczą.

Ciemne ptaki, ciemne ptaki, czy pewnego dnia, kiedy my istoty cielesne staniemy się już tylko duchami i cieniami, powrócicie by igrać na naszych samotnych planetach?

KONIEC